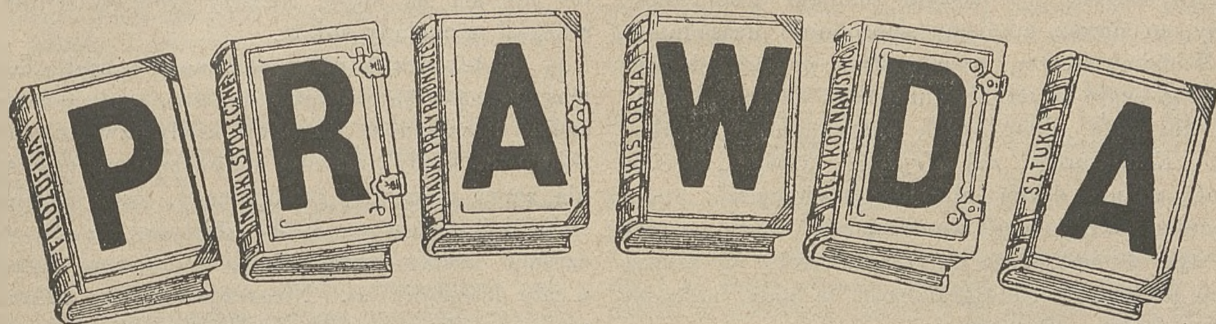
Nr 11 (1574). Warszawa, 18 marca 1911 r. Rok XXXI



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja Rysia 3. Telefon 73-80.

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na kwartał drugi.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Postęp i popularność.

Tu i owdzie rozległy się głosy, że „postęp nie jest w Polsce popularny", przyczym wymawiano to zdanie tonem bezmyślnej uciechy lub tajonej radości, jakkolwiek nie zwiastuje ono bynajmniej rzeczy dla kraju naszego radosnej.

Bo też niewielu zadało sobie trud bliższego wejrzenia we właściwe przyczyny tego zjawiska. Dlaczego postęp nie jest na ziemiach polskich popularny? — i w jakich warunkach stać się może powszechnym hasłem naczelnym dla naszego narodu? Oto pytanie, na które trzeba dać odpowiedź.

Przedewszystkim jednak rodzi się kwestja: czy postęp wogóle może być popularny? Wielu skłania się do mniemania, że przez swą rolę wybitnie krytyczną i nowatorską, z natury rzeczy postęp odstręcza od siebie masy, przejęte kultem przeszłości lub też nie wybiegające poza krawędzie bieżącej doby, a wskutek tego nigdy nie jest popularny. Współczesne jednak demokracje zadają kłam temu twierdzeniu, ujawniając potężny i rosnący z dnia na dzień wpływ żywiołów postępowych; przykładem — Francja, Anglja, Włochy, ostatnio Hiszpanja i Portugalja, nawet Turcja, nie mówiąc już o nowych społeczeństwach w Ameryce i Oceanji, zrośniętych organicznie, wszystkimi fibrami, z ideą postępu, będącą zaczątkiem ich powstania i treścią ich bytu.

Rażąco i przykro odbija od tych szczęśliwych środowisk względna niepopularność postępu na ziemiach polskich. Powiadamy: względna, bo nie trzeba zapominać, że mimo wszystko polska prasa postępowa liczy więcej czytelników — wśród sfer, które czytać i myśleć umieją — niż pisma zachowawcze, żyjące głównie subsydjami osób wpływowych i możnych koterji. Nadto, prasa postępowa porusza i zajmuje umysły niemal wyłącznie, ona jedna też ma zaszczytny przywilej wprowadzania w nasze życie kulturalne nietylko nowych prądów, lecz i nowych ludzi i świeżych talentów.

Mimo to, opinja postępowa nie jest w kraju naszym miarodajną. Nieszczerzy jej przyjaciele, tudzież jawni wrogowie tłómaczą to błędami taktyki postępowej, stawiając na pierwszym miejscu te, których nie popełniliśmy nigdy.

Zresztą, ani na jedną chwilę nie przypuszczamy, by zupełna poprawność metod, o ile ją można osiągnąć, zmieniła ten stan rzeczy i pchnęła postęp na miejsce w narodzie naczelne...

Przyczyny bowiem słabości postępu leżą głębiej; są one od nas niezależne, związane z ogólnym stanem społeczeństwa, z tysiącem czynników uwsteczniających, zarówno zewnętrznej, jak i wewnętrznej natury.

Wśród pewnych kół lewicowych panuje przeświadczenie, że czynniki zewnętrzne są główną, a bodaj nawet wyłączną przeszkodą dla normalnego naszego rozwoju, że wogóle o postępie w Polsce nie może być mowy, dopóki nie posiadł on terenu własnej państwowości. Krakowska *Krytyka* rozważała niedawno ten problemat, i oto jej znamienne wnioski:

„Tylko wolny naród może pełny brać udział w podziale pracy międzynarodowej, i tylko wolny naród może dążyć do tej wyższej formy wolności, którą jest przeobrażenie dzisiejszego despotycznego państwa w związek dobrowolny, etyczniejszy.

„Więzy rwij!" od tego zaczyna się akt wszelkie-

go postępu. Wszelka bierność wobec dążeń niepodległościowych jest synonimem skrajnego wstecznictwa".

Ten pogląd, utarty zwłaszcza w sferach dyletantów politycznych, jest naszym zdaniem dość jednostronny, co nieraz mieliśmy sposobność uzasadniać.

Widzimy zresztą, że powyższy pogląd, chociaż wybujał głównie na terenie autonomji Galicji, bynajmniej nie każe „rwać" tych autonomicznych „więzów"... Redaktorowi zaś *Krytyki*, który „wszelką bierność wobec dążeń niepodległościowych" zowie „synonimem skrajnego (!) wstecznictwa" musimy zwrócić uwagę, że nadmierne i huczne *zachęty do czynu*, rzucane po przez kordon graniczny, są bodaj najmniej właściwą formą. . bierności.

Pojmując motyw czysto uczuciowej psychozy, jaka cechuje wspomniane wyżej „dążenia", ze swej strony twierdzimy, że ucisk zewnętrzny nie może i nie powinien skłaniać nas do rezygnacji z pracy postępowej, dla której wszak walka z wewnętrzną niewolą ducha i myśli stanowi również rozległy i ważny teren działania. Tę walkę dotąd lekce sobie ważono, zwłaszcza w Galicji, to też niewola wewnętrzna stanowi tam obecnie kontrast rażący ze względną wolnością polityczną i powoduje takie zajścia, jak debiut ks. Zimmermanna i zakaz wygłaszania odczytów o jego słynnym dziele p. t. *Moja Pani*... [1]) Pozwala to przypuszczać, że gdyby weszła nad ziemią naszą zupełna nawet wolność polityczna — to i wówczas mielibyśmy z jednej strony przerost i przewagę czynników zachowawczych, a z drugiej — opozycyjną mniejszość postępową.

* * *

Naogół wziąwszy, tylko dojrzałe społeczeństwo może zdobyć się na realizm twórczy, który cechuje właściwą politykę postępową. Nie olśniewa ona, nie nęci, nie przyciąga rzesz niewyrobionych i bezkrytycznych; nie jest hasłem o brzmieniu magicznym, lecz długą litanją prób, reform i doskonaleń, często niepokaźnych, a zawsze mozolnych. Dusze niecierpliwe, serca płonące nie zawsze dają się wdrożyć do tych metod, a inercja społeczna, wzmacniana przez konserwatyzm, czynny stawia im opór.

Zamiast przywilejów, postęp wdraża obowiązki; dlatego jedni go nienawidzą, a inni nie rozumieją. Stwarza on nie tyle nowe normy społeczne, ile nowych ludzi, nie tyle reformuje, ile kształci. Zamiast otwierać znagła cudowny jakiś Sezam oczom zdumionego ludu — on, jak sumienny przewodnik, wskazuje i wyjaśnia etapy dalekiej i żmudnej drogi...

W społeczeństwach niedojrzałych i nienormalnych demagogja zajmuje miejsce polityki, operując bądź pojęciem piekła i raju w życiu wiecznym, bądź też apokalipsą rewolucji społecznej i mirażem nowego zupełnie ustroju. Ze swej znów strony ciasny nacjonalizm, każąc kultywować ryczałtem wszystko co swojskie, złe nałogi obok dodatnich, gra świadomie na nizkich strunach sobkostwa i samochwalstwa i święci łatwy odwet na słabym „wrogu wewnętrznym", za krzywdy, doznane od silnych i rzeczywistych wrogów.

Postęp gardzi demagogją — oto pierwsza przyczyna jego „niepopularności", a zarazem dowód moralnej i społecznej wyższości.

Nie rozporządza on życiem pozagrobowym, ani też nie ma na swoje rozkazy środków gruntownej a nagłej przemiany świata.

To też liczyć na popularność wśród szerokich mas może postęp wówczas dopiero, kiedy tam zacznie świtać niezależność duchowa, kiedy dźwignie się myśl zbiorowa, kiedy utrwalać się pocznie wolność sumienia, zmysł doczesnej samopomocy, kult narodowości świeckiej — słowem, kiedy zbliżymy się do współczesnej normy europejskiej, która nas wyprzedza o całe dziesiątki lat. Nieszczęsne nasze uwstecznienie — oto drugi powód niepopularności postępu.

Jest i trzeci, bodaj najważniejszy. W tych warunkach naszego bytu, kiedy myśl polska, pozbawiona impulsów twórczych i szerszego pola działania, zasklepia się w rutynie — postęp nieustannie przypomina, że pomimo utraty własnego bytu państwowego, powinni Polacy *uczestniczyć w cywilizacji ogólnej i posuwać własną*, o ile nie chcą znaleźć się na szarym końcu narodów. Mając w duszy to zbawcze kryterjum, a przed oczyma stałe uchylanie się odeń naszego życia, postęp zdobywa się nieraz na bolesne prawdy, na demaskowanie przewinień naszych i uchybień wobec obowiązków, stawionych przed narodem, na ostrą nieraz krytykę naszych niedoborów i naszego niedbalstwa... I oto w oczach ogółu, skłonnego z natury rzeczy do kwietyzmu i apatji. a w dodatku umacnianego w tej bezwoli przez propagandę ciasnego nacjonalizmu — postęp staje się niepopularnym, jako surowy choć sprawiedliwy i czujny pedagog, który stawia swym uczniom wysokie wymagania i nie pozwala od nich odstąpić.

* * *

Rzeczą jest zatym zrozumiałą, że bez względu na swoją doraźną taktykę, postęp w naszym kraju nie może być popularny, lecz ta jego właściwość nietylko mu nie przynosi ujmy, lecz przeciwnie — stanowi rękojmię jego wartości i miarę wyższego powołania.

Po rozważeniu różnych czynionych nam zarzutów, po dokładnym zbadaniu przyczyn i skutków — możemy chyba śmiało powiedzieć zarówno naszym przeciwnikom, jak i ludziom, którzy nie pojmują istoty postępu: — jest on dlatego u nas „niepopularnym", że przygłusza go i przywala przeklęte brzemię zewnętrznej niewoli i wewnętrznej martwoty, z którą walczymy oto od lat trzydziestu bez nadziei rychłego zwycięstwa, ale z tym krzepiącym przeświadczeniem, że dzień naszego tryumfu będzie zarazem dniem odrodzenia i rozkwitu kultury polskiej.

Jubileusz zniesienia poddaństwa w Rosji.

Urzędowa i nieurzędowa Rosja w przeszłym tygodniu obchodziła pięćdziesiątą rocznicę zniesienia poddaństwa. Biorąc z niej asumpt, rozpatrzmy, w jakich warunkach powstała ta pierwszorzędnej wagi reforma.

---

[1]) Por. *Na Dobie* — „Rządy pani Dulskiej".

Kampanja Krymska wykazała dowodnie całą nicość systemu mikolajewskiego i pchnęła Rosję na drogę ważnych przeobrażeń. Nowy cesarz Aleksander II czuł, że interesy państwa rosyjskiego wymagają podstawowych zmian, któreby zbliżyły Rosję do nowoczesnego typu państwa i wzmocniły jego siłę wewnętrzną. Jako następca tronu do ostatnich lat panowania Mikołaj I uchodził on za przeciwnika reformy włościańskiej; rewolucja 1848 r. utwierdziła go jeszcze bardziej w zasadach konserwatywnych, dopiero klęska wojenna Rosji, odsłaniająca wszystkie wady starego systemu, otworzyła mu oczy na konieczność zniesienia poddaństwa.

Rosyjskie chłopstwo, jak słusznie zaznacza Ignatowicz, nie było niemą siłą. Warstwy ludowe nieraz protestowały przeciw uciskowi pańszczyzny. I chociaż bunty chłopskie nie miały charakteru politycznego i były wymierzone jedynie przeciwko obszarnikom i urzędnikom, jednak objawy niezadowolenia wciąż rosły. Za panowania Mikołaja I notowano 674 bunty chłopskie. Liczba tych ruchawek wahała się w następujący sposób:

W latach 1826 — 1829	85
1830 — 1834	60
1835 — 1839	78
1840 — 1844	138
1844 — 1879	209
1850 — 1854	189

Z wyjątkiem pierwszego pięciolecia panowania Mikołaja, liczba ruchawek chłopskich stale wzrastała. W końcu panowania Mikołaja I i w początkach Aleksandra II ruchy te zaczęły przybierać bardziej klasowy i bardziej groźny charakter. Do takich ruchów należy zaliczyć bunt chłopski w gub. Witebskiej z r. 1847, ruchy włościańskie w latach 1854, 1855 z powodu powołania do wojska wielu tysięcy włościan i ruch chłopski w r. 1856 na południu Rosji z hasłem: Do Taurydy za swobodę!

Rozmiary artykułu nie pozwalają mi rozszerzać się w tej materji. Ciekawych odsyłam do pracy W. Siemiewskiego: „Wołnienja krepostnych". Ten stały ferment, ślepa wiara we wszelkie fantastyczne pogłoski o mającej się urzeczywistnić wolności ludu wskazywały na konieczność reformy. O tej konieczności świadczą najlepiej słowa cesarza, wypowiedziane do szlachty gub. Moskiewskiej: „lepiej znieść poddaństwo z góry przez prawowitą władzę państwową, aniżeli czekać, aż obalone będzie z dołu przez sam lud", Nie wszyscy również obszarnicy byli rzecznikami zachowania poddaństwa.

Tu właśnie zarysowały się znaczne różnice pomiędzy głównymi grupami szlachty rosyjskiej, uwarunkowane głównie jej stosunkami materjalnymi. W gęsto zaludnionych guberniach czarnoziemnych wartość majątków głównie polegała na samej tylko ziemi i jak stwierdzają ekonomiści rosyjscy, szlachta skłonna była do zniesienia poddaństwa, jednakże z zachowaniem ziemi przy sobie. Natomiast w mało urodzajnych gubernjach z przemysłem fabrycznym, gdzie właściciele ziemscy ciągnęli zyski nie tyle z ziemi samej, ile raczej z pracy swych poddanych — niechętnie godzili się na nadanie chłopom wolności.

Pierwsze kroki rządu były dość chwiejne. Aleksander II pragnął, by inicjatywa wyszła z łona samej szlachty. Impulsem do rozpoczęcie akcji była petycja ziemian Polaków z gub. Wileńskiej, Kowieńskiej i Grodzieńskiej z r. 1857, w której żądano zniesienia poddaństwa.

Dn. 20 listopada 1857 r. Aleksander obwieścił narodowi zapowiedziane reformy. Reskrypt ten wywołał entuzjazm wśród ówczesnych żywiołów demokratycznych.

Hercen, Ogarew, Turgeniew, Czernyszewski, Bieliński, Szczedryn, Pisiemski, Niekrasow i inni zapowiedzieli swą pomoc w ruchu reformatorskim. Świadomość, że dziesiątki miljonów ludzi uzyska wolność i ziemię bez powszechnej i krwawej rewolucji, że sam cesarz sprzyja ruchowi reformatorskiemu i zwolna usuwa szkodliwe przeżytki przeszłości, budziła najróżowsze nadzieje. Galilee vicisti! — pisał Hercen w *Kołokole*, witając reskrypt z dnia 20 listopada 1857 r. jako zapowiedź nowej ery. Czernyszewski, wódz obozu radykalnego z uniesieniem pisze w miesięczniku *Sowremiennik*:

„Błogosławieństwo obiecane twórcom pokoju, uwieńczy Aleksandra II szczęściem, jakim nie był uwieńczony żaden z monarchów europejskich".

W tym przeświadczeniu, społeczeństwo w najświatlejszej swej części sądziło, że wezwane jest przez monarchę do przebudowania z gruntu organizacji ekonomiczno-społecznej i prawno-administracyjnej i że Rosja weźmie rozbrat raz na zawsze z niedawną przeszłością. Manifest 19 lutego 1861 r. ostudził atoli zapał i rozwiał nadzieje. Owczesna biurokracja wraz ze wsteczną szlachtą skaziła szlachetną intencję. Włościanie po uwłaszczeniu dostali znacznie mniej ziemi, aniżeli mieli za czasów poddaństwa. Ceny wykupne były nader wygórowane i włościanie, opłacając je, ponosili koszt zniesienia poddaństwa, płacąc za otrzymaną ziemię więcej, aniżeli była warta. Samorząd gminny został oddany pod ścisły nadzór biurokracji.

Nic więc dziwnego, że ogłoszenie manifestu 19 lutego 1961 r. wywołało rozczarowanie i objawy niezadowolenia z połowicznej reformy wystąpiły dość rychło: w jesieni 1861 r. bunty chłopskie ogarnęły 20 gubernji.

Jakkolwiek dawna dzika samowola panów znikła i ludność włościańska pod względem ekonomicznym znacznie zyskała, połowiczność reformy mści się po dziś dzień, tworząc stały ferment we włościaństwie; współczesne ruchy agrarne w centralnej Rosji należy przypisać temu, że podówczas biurokracja nie umiała, czy nie chciała rozwiązać całkowicie sprawy włościańskiej.

P. Zubowicz.

Wychodźtwo sezonowe.

W ostatnich czasach niezmiernie dużo mówi się i pisze o wychodźtwie osadniczym do Parany. Natomiast daleko doniośliejsza sprawa wychodźtwa sezonowego do Niemiec i Danji nie budzi żadnego zainteresowania w prasie.

Należy przyznać, że rząd brazylijski ogromnie ułatwił wychodźtwo do Parany. Emigrant otrzymuje bezpłatny przejazd z Tryjestu do Kurytyby, na miejscu dają mu 45 mórg ziemi, narzędzia rolnicze i utrzymanie mniej więcej w ciągu pierwszych sześciu miesięcy, wszystko na spłaty, amortyzujące się w ciągu kilku lat. Forma rządu jest idealnie republikańsko-federatywna i sam fakt osadzenia Parany uświadomioną większością polską wytworzyłby istnienie kolonji, nienarażonej na wynarodowienie, a obdarzonej doskonałymi urządzeniami politycznymi. Obecne więc wychodźtwo do Parany w niczem nie będzie przypominać dawnej żywiołowej emigracji do Brazylji, kiedy chłop polski stawał się łupem wyzysku ajentów, a następnie umierał na żółtą febrę, osiedliwszy się nad brzegami Amazonki.

Mimo to nie mogę się zgodzić z twierdzeniem p. Pankiewicza, z broszury którego „*Prawda o Paranie*" czerpię te dane, że „do Parany może przyjeżdżać taki, co nic niema i śmiało osiadać na roli", a nie mogę dla tego, że z tej samej broszury wynika inny wniosek.

Przedewszystkim z kraju do Tryjestu trzeba dojechać na własny koszt. Bilet z Krakowa do Tryjestu kosztuje 19 rubli. Nie przesadzę, jeżeli koszt prze-

jazdu jednej osoby od nas do Tryjestu obliczę przeciętnie na 25 rubli. Dalej „dla otrzymania bezpłatnego przejazdu potrzebne jest świadectwo ślubne", a więc chyba i żona, czyli cyfrę 25 rubli należy podwoić. Wreszcie owe 45 mórg ziemi, jakie otrzyma emigrant w Paranie, są pokryte dziewiczym lasem, którego siekiera nie tknęła od początku świata. Drzewo tam jest bez wartości. Trzeba więc owe 45 mórg wypalić, wykarczować, uprawić i upłynie dużo więcej czasu, niż 6 miesięcy, zanim emigrant będzie mieć pierwszy grosz dochodu ze swej ziemi. Słowem — pomimo wszelkich ułatwień rządu brazylijskiego — trzeba mieć pewien kapitał zapasowy na utrzymanie w ciągu pierwszych lat, nie mówiąc już o tym, że trzeba być przygotowanym na kolosalnie ciężką pracę, która nie da się porównać ze zwykłą pracą na roli, inaczej powiedziawszy — trzeba mieć wyjątkowe siły, i zdrowie.

Reasumując — do Parany jechać może nie każdy, a ten tylko, kto ma conajmniej obok wyjątkowych sił i zdrowia, żonę i jakieś 150 rubli oszczędności (2 razy po 25 rb. — droga, i 2 razy po 50 rb. — koszta utrzymania w trakcie karczowania lasu). Człowiek, odpowiadający tym warunkom nie jest „nędzarzem", lecz należy do elity, do arystokracji proletarjatu rolnego i da sobie doskonale radę w Europie, co prawda dojdzie może do mniejszych rezultatów. Nie przeczę, że Parana może pociągnąć setki, może tysiące ludzi, lecz masowego ruchu nie wywoła, tym bardziej, że niewiadomo, czy po 16-ym Marca 1911 r. rząd brazylijski będzie wydawać bilety bezpłatnego przejazdu. Zwolennikom kolonizacji Parany idzie o terytorjalne skoncentrowanie osadnictwa polskiego. Myśl bardzo chwalebna, lecz czy nie należałoby w takim razie przedewszystkim starać się ściągnąć do Parany wychodźców polskich, rozrzuconych w innych krajach?

O ile emigracja do Parany — mimo wszystko — ma cechy egzotyczno-awanturnicze i może nęcić tylko nieliczne jednostki, — o tyle wychodźtwo sezonowe do Niemiec już jest wielkim zjawiskim społecznym, obejmującym setki tysięcy ludzi, zjawiskim, które wprost krzyczy, aby je zbadać i uregulować. Na całym zachodnim pograniczu Królestwa, od Częstochowy, po-przez Kalisz i Włocławek, ku Mławie — w lecie wsie pustoszeją. Wszystko co młodsze i energiczniejsze jest na robotach w Niemczech. Idą oni tam, „aby tuczyć swoją krwawicą wrogów imienia polskiego", jak twierdzi demagog endecki. Idą, „aby robić oszczędności, za które drogo kupują ziemię w Polsce i tuczą obszarników polskich", woła demagog socjalistyczny. Idą „opętani djabelską chęcią rozpusty i opuszczają zagon rodzinny, który porasta chwastami", płacze demagog klerykalno-ugodowy. A oni śmieją, im się wszystkim w nos i idą. I mają rację. Junkier pruski, chociaż jest zajadłym wrogiem Polaków, gospodaruje intenzywnie, potrzebuje dużo rąk do pracy, ma cła ochronne na zboże i mięso, — i może płacić najemnikowi drożej, niż obszarnik polski, który za jednakową ilość sprzedanych produktów otrzymuje nieomal o połowę mniej gotówki. Była zresztą chwila, kiedy obszarnicy niemieccy pod wpływym hakatystów — chcieli zastąpić zezonowych robotników z Polski — Rusinami. Tu znowu chodziło o to, „aby niemiec zarobkiem, jaki daje, nie tuczył wrogów imienia niemieckiego". Próba spełzła na niczym, bo robotnik rusiński jest za leniwy i zbyt niezaradny, aby wytrzymać konkurencję z polskim, zresztą mieszka dalej. Ale ten sam frazes o „tuczeniu wrogów imienia narodu" już był na ustach hakatystów i nie zatamował wychodźtwa sezonowego. Frazesy demagogiczne ani nie powstrzymują, ani nie wywołują wielkich ruchów społecznych. Wyższa norma płacy zarobkowej najemników sezonowych jest tu jedynym czynnikim decydującym. Polski najemnik rolny byłby niedołęgą, gdyby nie wyzyskał tej korzystnej dla siebie konjunktury, tym bardziej, że koszta podróży są tu tak nieznaczne, iż można ich wcale nie brać w rachubę.

Najemnik sezonowy istotnie nie wydaje w Niemczech wszystkiego, co tam zarobi Przynosi ze sobą oszczędności, które wynoszą mniej więcej koło stu rubli za sezon, od Marca do Listopada, od osoby. Ogólnej statystyki tych oszczędności nie zrobiono, ani nawet nie próbowano robić. Niejakie pojęcie o sumie ich może dać ta okoliczność, iż przez jedną tylko stację pocztową, Szadek, odległą o dziesięć mil od granicy, przeszło, od Maja do Sierpnia roku ubiegłego, 8,500 rb. pieniędzy przesclanych rodzinie z Niemiec od sezonowych emigrantów. Znaczniejsze sumy przywożą najemnicy ze sobą w Listopadzie.

Co się dzieje z tymi oszczędnościami? Przedewszystkim jest rzeczą oczywistą, iż żadnego przymusu lokowania ich niema i nie może być. Kto uważa, że lokowanie tych oszczędności w ziemi jest nieodpowiednie, może namawiać najemników sezonowych, aby budowali udziałowe mleczarnie, udziałowe cegielnie i. t. d. Jeżeli na wychodźtwo idą dzieci obdłużonego włościanina, lub on sam, wypuściwszy gospodarkę w dzierżawę, to przywiezione pieniądze pójdą na spłatę długów. Są to wypadki bardzo częste. Bywają i całkiem smutne wypadki, niestety zbyt częste: oszczędności idą do kufra i stają się pastwą myszy lub złodziei. W gminach lub zwykłych kasach pożyczkowo- oszczędnościowych też pełno tego rodzaju oszczędności. W bardzo wielu wypadkach oszczędności idą na zakup ziemi od wielkich właścicieli ziemskich. Oczywista rzecz, że zwiększony pokup na ziemię podnosi jej cenę. Lecz nie zapominajmy, że włościanin korzysta z pożyczki Banku Włościańskiego, który mu daje trzy czwarte, niekiedy więcej, sumy szacunkowej na trzydziestoletnią amortyzację, i wkutek tego może się rzucać na kupno ziemi z mniejszym kapitałem, niż kto inny. Wina „tuczenia obszarników polskich" spada więc przedewszystkim na Bank Włościański, który jednak w swojej naiwności sądzi, że wykupując od nich ziemię wysadza ich z siodła. Zresztą jaka kategorja właścicieli ziemskich parceluje majątki? Ci, którzy mają pałace, parki, wydrenowane pola, murowane budynki i wzorową gospodarkę, ci — nie parcelują majątków, tych chłopskie oszczędności nie „tuczą". Natomiast cała masa obdłużonych wielkich majątków, gospodarczo zacofanych, prowadzonych niedołężnie — ta idzie na parcelację. Długi tego rodzaju wielkich majątków zwykle dorównywują ich wartości i w najlepszym razie „utuczony" chłopskimi oszczędnościami taki obszarnik wyjeżdża na bruk z kilku lub kilkunastu tysiącami rubli. Natomiast wypadki bankructwa włościan nowonabywców, w rzeczywistości zdarzają się bardzo rzadko.

No, a czyż istotnie „porasta chwastami zagon ojczysty?" W początkach emigracji sezonowej była chwila, kiedy więksi właściciele ziemscy stanęli bezradni. W owym czasie słychać było w całej prasie prawicowej zgodny jęk nad wychodźtwem do Prus. Biadanie te trwają do dziś dnia i z punktu widzenia interesów tych obszarników, którzy nie chcą sprzedawać swoich majątków i gospodarują dobrze, są uzasadnione. Wychodźtwo do Niemiec zmusiło ich bowiem do sprowadzania sobie najemników z południowowschodnich części Królestwa i z Litwy, co kosztowało znacznie drożej od taniego miejscowego najmu. W niektórych okolicach naprawdę zahamowano wychodźtwo do Niemiec, a to mianowicie w ten sposób iż najemnicy sezonowi otrzymali taki sam zarobek, jak w Niemczech. Skala tego zarobku bywa wówczas, jak na nasze stosunki, bardzo wysoka. Słowem, krótko mówiąc, wychodźtwo sezonowe w niedługim czasie przynajmniej podwoiło wysokość skali zarobkowej najmu rolnego w zachodniej części kraju. Rzecz-

nicy interesów wielkiej własności rolnej mogą biadać nad takim rezultatem, chociaż i to będzie krótkowidztwem, gdyż droższy najemnik zmusił wielką gospodarkę do wprowadzenia udoskonalonych maszyn, do zwiększenia wydajności gleby i t. d. W każdym razie, w trakcie tej przemiany, wielu wielkich właścicieli ziemskich zbankrutowało. Lecz interesy najemnictwa rolnego wogóle tylko zyskały na wychodźtwie sezonowym. Niewątpliwie obszarnik niemiecki, potrzebujący rąk do pracy, zyskuje na wychodźtwie jak również obszarnik polski, pragnący rozparcelować swój majątek, lecz najwięcej zyskuje tu sam najemnik sezonowy. Życie jest przedewszystkim wymianą usług i przy podnoszeniu się jednej jakiejś klasy społecznej niepodobna sprawić, aby żadna inna grupa ludzi czegoś na tym nie skorzystała. Ta inna grupa może się nawet wówczas, jako klasa, rozkładać, co nie przeszkadza, że członkowie tej grupy, jako jednostki, zyskują. Idzie o to, jaka grupa, jako klasa, zyskuje stosunkowo najwięcej. Otóż w danym wypadku zyskują najwięcej najemnicy rolni i drobni właściciele ziemscy.

Cała Parana jest muchą w porównaniu do tego słonia, jakim jest wychodźtwo sezonowe, które już dzisiaj przelewa się poza Niemcy na Danję, Szwajcarję i Francję. Swoje dawne trakty wychodźtwo sezonowe już sobie jako tako utorowało, usuwając ajentów i wytwarzając typ „przewodnika", o którym już była mowa w *Prawdzie* N. 7 porównaj „Przyczynek do sprawy wychodźtwa"), lecz przy zdobywaniu nowych placówek ciężkie przeżywają chwile wychodźcy. Jeżeli towarzystwo opieki nad wychodźcami nie ma być instytucją czysto dekoracyjną, to powinno się zająć zbadaniem sprawy wychodźtwa sezonowego, a następnie uregulowaniem jej, w znaczeniu niesienia pomocy tym wychodźcom, którzy jej potrzebują, rozrzuceniem reklam zagranicą, wynajdywaniem nowych miejsc i t. d. Wyłączne interesowanie się emigracją do Brazylji, z zupełnem pominięciem emigracji sezonowej, jest krzyczącą anomalją, która jaknajprędzej powinna być usunięta.

Jerzy Kurnatowski.

W Rosji.

W ciągu ostatnich kilku tygodni Duma obradowała nad trzema zasadniczymi sprawami: 1) szkolną, 2) granicą osiedlenia żydów, i 3) samorządem ziemskim dla Królestwa Polskiego. Jednocześnie zaś w Radzie państwa toczyły się obrady nad sprawą samorządu ziemskiego dla Litwy i Rusi. Ponieważ wszystkie te sprawy w znacznej mierze dotyczą „inorodców" więc oczywiście nienawiść plemienna silnie reprezentowana przez większość Dumy, miała bardzo szerokie pole do popisu.

Reakcja rozlewna i szeroka jak Wołga podczas swoich roztopów wiosennych, najbardziej uwydatniła się w sprawie nauczania początkowego. Chodziło przedewszystkim: o środki na oświatę i o charakter szkoły, następnie — o prawa „inorodców" do języka ojczystego w szkołach początkowych. Szkoła oczywiście musi być utrzymana w duchu policyjnym. Jeżeli wielotysięczna dziatwa chce się zbliżyć do krynicy wiedzy, polegającej na znajomości azbuki, gieografji Rosji i historji Iłowajskiego, powinna się poddać rygorowi specjalnej pedagogji, powinna się wychowywać w duchu niebudzącym żadnej wątpliwości, że śród zastępów tej dziatwy nigdy nie zaświta żadne pragnienie lepszego słonecznego życia, żadne pragnienie szerszej wiedzy, nie spreparowanej w retortach cerkiewno-parafjalnych lub cyrkułowych.

Komisja szkolna w swoim obcinaniu oświaty prześcignęła nawet wszelkie marzenia biurokracji tudzież ostatnich ministrów „oświaty", wykreśliła bowiem wszystko, co przyjęto w drugim czytaniu plenarnym i co miało jakiekolwiek pozory liberalizmu. Bo też tak dobranej komisji Duma nie pamięta. Ilość miejsc dla przedstawicieli lewicy sprowadzono do minimum, a natomiast wprowadzono cyfrę biblijną: dwunastu najreakcyjniejszych duchownych. To też postanowiono na pierwszym planie religję prawosławną, której wykład powinien się odbywać obowiązkowo, bez względu na liczbę uczni prawosławnych. Natomiast wykład religji nieprawosławnej w szkole początkowej odbywać się może tylko o tyle, o ile większość uczniów nie należy do prawosławnych. Tam zaś, gdzie uczniowie nieprawosławni są w mniejszości, wykład ich religji może się odbywać za zgodą inspektora na koszt szkoły. Szkoła początkowa musi być nie tylko rosyjską, ale i rusyfikacyjną, do czego także ma służyć wykład religji. Tak np., według poprawki biskupa Eulogiusza, religja katolicka powinna być wykładana po rosyjsku dzieciom małoruskim i białoruskim na Litwie, Rusi i w Chełmszczyźnie. Projektodawca cofnął jednak tę swoją propozycję wobec poprawki nacjonalistów, którzy zażądali, ażeby w tak zwanych guberniach zachodnich oraz w Kurlandzkiej, Lubelskiej, Siedleckiej i Suwalskiej wykład religji katolickiej odbywał się dla ludności małoruskiej i białoruskiej po rosyjsku—za zgodą inspektora, dla ludności litewskiej po litewsku, dla łotewskiej — po łotewsku. Oczywiście zgoda inspektora może być b. względną. Jeszcze większe ograniczenia zaproponowano wogóle względem języków „inorodczych" jako wykładowych w szkołach początkowych. Co do małorusinów i białorusinów, nie czekano określenia ich narodowości przez inspektorów szkolnych, ale odrazu, większością 183 głosów przeciwko 115 uznano ich za Rosjan. Tym sposobem dokonano wszelkiego aktu historycznego. Natomiast zrobiono ustępstwa dla tych języków, które mają swoją literaturę: w szkołach początkowych wykłady mogą się odbywać w języku ojczystym w ciągu pierwszych czterech lat. (Szkoły początkowe są z kursem sześcioletnim). Oczywiście mowa to o tych szkołach, w których przeważa ludność „inorodcza". Są tacy naiwni, którzy uważają to ustępstwo za „porażkę" nacjonalistów, zapominając o tym, że sprawa szkolna ma jeszcze do przebycia kilka etapów i że jeszcze przejdzie przez gęste sito Rady Państwa, gdzie mogą być wysiane wszelkie ustępstwa.

Obok sprawy idejowej, t. j. stworzenia szkoły rosyjskiej, rusyfikacyjnej i policyjnej, musiano także poruszyć sprawę realną — zapewnienia funduszów nauczaniu początkowemu i tutaj worek ministerjalny doznał charakterystycznych kurczów. Komisja szkolna uznała niezbędność uchwalenia prawa, któreby zmusiło skarb państwa do wydatkowania w ciągu dziesięciu lat po 10 miljonów rubli rocznie na wprowadzenie w całym państwie nauczauia początkowego. Na to p. minister skarbu na posiedzeniu Dumy powiedział: „Daleki jestem od jakichkolwiek targów w tej sprawie"... ale... mam inne ważne wydatki, kłopoty finansowe... Czy nie będzie dosyć ośmiu miljonów? Przecież niedawno p. minister skarbu wniósł do Dumy projekt wydatkowania w ciągu lat dziesięciu 1,550 mil. rubli na potrzeby armji. Oświata jest cierpliwa. Czekała dotąd, może i dalej czekać. Wprawdzie z 12,960,743 dzieci w wieku szkolnym w całym państwie rosyjskim zaledwie 5,221,187 uczęszcza do szkół, a siedem miljonów dziatwy tonie w mrokach. Ale cóż to znaczy? Czy tak czy owak, gdy dorosną, znaczna ich liczba będzie zdolna do wojska, nawet bez szkoły. Wprawdzie Japończycy pokazali poglądowo, co znaczy żołnierz inteligentny, pochodzący ze środowiska, w którym niema analfabetów; ale to już przeszło i jakkolwiek podczas wojny i zaraz po wojnie nawet zachowawcze i wsteczne odłamy społeczeństwa rosyjskiego wraz prasą tej barwy przyszły do przekonania,

że oświata masowa jest potrzebna, że jej brak i prześladowanie jest źródłem ciężkich klęsk państwa, to jednakże nastąpiły potym inne wypadki wewnętrzne, które wpłynęły na zmianę przekonań owych żywiołów. Przyszły one do wniosku, że oświata jest obosieczną i niebezpieczną bronią, daje bowiem masom możność czytania rzeczy zbytecznych i szkodliwych.

To też Duma niezbyt silnie reagowała przeciw oszczędności ministra skarbu.

A cóż Królestwu Polskiemu dostanie się z tego dobrodziejstwa? W Rosji jedna szkoła początkowa przypada na 1,505 mieszkańców; w Królestwie jedna na 2,458. Czyż można przypuszczać ażeby reforma dążyła do stosunkowego zrównania liczby szkół w Królestwie i w Rosji, a więc żeby nas obdarzyła stosownymi środkami z tych ośmiu miljonów, proponowanych zamiast dziesięciu przez ministra skarbu? — Nie łudźmy się.

Wypada jednak coś zrobić dla tego Królestwa, jeżeli nie zrównać go w prawach i urządzeniach gospodarczych z Cesarstwem, to przynajmniej zrobić pewien giest w tym kierunku. Taki właśnie giest zrobili październikowcy: „Damy wam samorząd ziemski! Tylko bądźcie grzeczni!!!

Jesteśmy wprawdzie grzeczni tak dalece, że zasłużyliśmy dawno na samorząd, ale prawica przeraziła się nawet samej obiecanki, więc zaczęła na gwałt szukać dowodów naszej niegrzeczności. Dla przeciwdziałania ziemstwom na Litwie zapolowano na lisa w byłej kaplicy i... upolowano starca osiemdziesięcioletniego. Dla przeciwdziałania ziemstwom w Królestwie zainscenizowano obraz polowania na stójkowych i wysunięto go pod postacią nagłej interpelacji z komentarzami: W Królestwie Polskim gotuje się rewolucja!

Pomimo to wszystko, stał się giest: rozprawiano w Dumie o ziemstwach dla Królestwa, a hr. Bobryńskij obiecał te ziemstwa tylko w takim razie, jeżeli Polacy przestaną prześladować Rusinów, czyli *Rosjan* w Galicji i wyrzekną się wszelkiej pretensji do Chełmszczyzny. Nasi zaś posłowie wzięli to całkiem na serjo i uważali za stosowne poważnie na to odpowiadać i tłomaczyć się przed hr. Bobryńskim.

O samym projekcie samorządu ziemskiego dla Królestwa nie mamy nic do powiedzenia, bo *Prawda* w osobnych artykułach oceniła go szczegółowo. W Dumie rozprawiano nad referatem komisji do spraw samorządu. Powodem zaś do złożenia tego referatu było wystąpienie październikowców w tej sprawie w listop. r. z. Przebieg rozpraw nie dał nic konkretnego i myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że rozważanie referatu w Dumie i wypowiedziane tam *pia desideria* są zapowiedzią rychłego wprowadzenia u nas reformy, chociaż tak bardzo okrojonej i sparodjowanej. Zresztą nagła interpelacja prawicowców w sprawie „rewolucji" w Królestwie wymownie świadczy o usposobieniu większości „ciała prawodawczego" względem reform gospodarczych dla Królestwa Polskiego.

Największy wybuch reakcji i najjaskrawsze jej zamanifestowanie w Dumie wywołała sprawa granicy osiadłości dla żydów. Mówcy prawicowi posunęli się nawet aż do niebywalego cynizmu; Markow II stwierdził, że w ustanowieniu granicy osiadłości niema nic sprzecznego z manifestem październikowym. Mówca powołał się na punkt *„przeglądu państwowego"* komisji szlachty zjednoczonej, która twierdzi, że *polityka państwa rosyjskiego powinna być polityką wypędzenia żydów*. Zdaniem p. Markowa, należy zatkać wszystkie szczeliny, „przez które ten chytry naród przenika tam, dokąd go nie wpuszczają, a każdego administratora, który przepuści żyda poza granicę osiadłości, należy skazać na wygnanie do Syberji po wieczne czasy".

Na nic się nie zdały gorące mowy lewicowców. Próżno Pokrowskij II dowodził, że cała polityka przemocy, stosowana względem żydów, nie ma podstaw ekonomicznych i państwowych, że jest ona atutem w ręku rządu, skierowującego gniew narodu w stronę żydostwa. Słusznie też mówca twierdził, że zwracanie się do rządu z takim projektem prawa — to sprawa stracona; że żydzi nie mogą niczego się spodziewać ani od trzeciej Dumy, ani od rządu. „Jedyna droga ratunku jest ta, że masy żydowskie winny się połączyć z innymi narodowościami, celem wspólnej walki z rządem".

Zdaje się, że w tym poglądzie tkwi jedyna moralna satysfakcja, jaką żydzi otrzymali po zupełnej porażce w instytucji „prawodawczej".

Z. Pietkiewicz.

Z kuźni bluźnierstw.

Aforyzmy o Czynie.

V.

N o w e p i ę k n o. Pisarze socjalistyczni kłują w oczy „pięknoduchów" tym, że czyny i śmierć bojowców pozbawione są wdzięku estetycznego i ten rzekomy brak estetyki windykują im jako plus.

Krzywią się tkliwe damy,
Że wychodzimy z roli
Pięknego bohatera...
En beau się nie umiera
W scenicznej aureoli...
Jeno tak... ordynarnie,
Zgoła bez sentymentu,
Te katusze, męczarnie,
Rzecz przykra, pełna wstrętu.

(*Markowska*).

Owszem, owszem, proszę Pani! bardzo wiele jest w tem sentymentu, szubienica stała się już oddawna rekwizytem literackim. Strug zapóźno mówi o „nowym pięknie". W ostatnim zbiorku Daniłowskiego („W miłości i w boju") widać już nawet jak ono działa na nerwy kobiece. Zaiste nie krzywią się tkliwe damy na bojowców, owszem — w atmosferze bomby robi Amor doskonałe interesy, na fali różnych powrotów z tradycji naszej wraca i luby motyw: ułan i panienka...

Więc nie skarż się obłudnie wrzący Achilesie!

C z y n p o p o w r o c i e d o d o m u. Niektóre dzieła Struga są mimowolną krytyką głębi całego ruchu. Wogóle w poezji czyn wybiega ponad siebie i przygląda się sobie. Może to być dla czynu próbą hartu, albo tylko zwierciadłem próżnej kokietki. Są przecież nawet pisarze, którzy utrzymują, że poezja ma latać za rewolucją ze zwierciadełkiem i ciągle ją odbijać...

Ta scena w *Jutrze*, kiedy skazaniec pogrąża się w jakąś starą powieść i znajduje w niej spokój jest symboliczną. Nigdy się nie zastanawiał nad swym stosunkiem do śmierci i nad tym, czym jest czyn na jej tle. „Umiłował bezpośredni, szybki czyn, proste, łatwe myśli i życie z dnia na dzień". „Gdy zaś rozum przynaglał i nakazywał podjąć nareszcie tę pracę przygotowawczą odpowiadał: mam czas". Nareszcie nadchodzi chwila porachunku. Czyn jest sam na sam ze sobą. Ta sytuacja wyrasta ponad autora i czytelnika. Tu się przypomina to, co Brzozowski mówi o „czynie własnym". Byłżeby to czyn cudzy? W „Płomieniach" wprawdzie znowuż Brzozowski w duchu bergsonistycznej filozofii uzna słowa: „myśl powinna być po czynie" (i to jest cały jego system) — lecz jest mi to zbyt mechanicznym odwróceniem dotychczasowej mody.

M y ś l p o c z y n i e. Kwestja następstwa myśli i czynu przypomina scholastyczne pytanie: co

było pierwej kura czy jajo? Jednakże maksyma „myśl po czynie" pasuje bardzo dobrze do tego: najpierw robić powstanie a potym je uzasadniać i poprawiać (na papierze). Polacy pocieszają się zawsze tak jak kiepscy szachiści, którzy przegrawszy partję pokazują, że wystarczyło im tylko pociągnąć to lub tamto, a byliby nie przegrali, ba, byliby nawet wygrali, — nigdy zaś nie grali źle, tylko się albo mylili, albo mieli pecha. I jakkolwiek pod pewnym względem uznać trzeba usiłowania nowych historyków (jak Askenazy, Sokolnicki) by cały upadek Polski zredukować do gry nieszczęśliwych okoliczności, to jednak z tym uniewinnieniem ginie pewna siła duchowa, która stwarza samooskarżenie i bierze na siebie pokutę za przeszłość (jak historja Szujskiego). Objektywnej prawdy zresztą tu nigdy się nie dojdzie, bo nie dojdzie jej nikt nawet w swoim życiu prywatnym, gdzie mu wszystkie fakty są znane, a tylko ich interpretacja jest wątpliwa. Siebie zbyt uniewinniać, może być rzutem silnego optymizmu lub lekkomyślności, siebie zbyt oskarżać, może być objawem słabości woli, hipochondrji lub też przeciwnie: siły zdolnej udźwignąć ciężar popełnionych błędów czy grzechów i zuchwale przyjąć za nie odpowiedzialność.

Karol Irzykowski.

Antonio Fogazzaro.

Włochy współczesne straciły jednego z najwybitniejszych przedstawicieli swego piśmiennictwa. W ubiegłym tygodniu zmarł Antoni Fogazzaro, autor znanych w całej Europie powieści: „Il mistero del poeta", Piccolo mondo antico", „Il santo", „Leila" i w. i.

W ojczyźnie jego zwano go za życia „ostatnim z Gwelfów"; po śmierci, dzienniki w nadzwyczajnych dodatkach zgon jego zwiastując, po raz ostatni ów przydomek jego przypomniały.

Żywot tego człowieka był nieprzerwanym pasmem wewnętrznych szarpań, religijnych zwątpień i nagłych porywów ekstazy; długi szereg wysiłków na polu pracy twórczej nie zdołał atoli zjednać sędziwemu pisarzowi szerokiej sympatji w ojczystym środowisku; ze strony kół liberalnych zwalczany był Fogazzoro za swój „katolicyzm"; sfery zaś Watykańskie prześladowały go jako ateistę, torującego drogi niebezpiecznej fali modernizmu.

Prawdziwy tragizm Fogazzara polegał na tym, że był on naturą głęboko i szczerze religijną, jednocześnie zaś odtrącał wszelką myśl o władzy świeckiej papiestwa, broniąc słowem żarliwym jednolitej niepodległej świeckości Włoch.

Ojciec powieściopisarza był słynnym w swym czasie patrjotą, zmuszonym przez całe dziesiątki lat ukrywać się z życiem i zdrowiem od zbrojnego pościgu austrjaków tudzież administracji papieskiej. Matka jego złożyła dowody niepospolitej odwagi, uczestnicząc w spiskach krajowych przeciw najazdowi północnego wroga; częstokroć widywano ją na placu boju, gdy opatrywała rannych, albo nabijała strzelby patryjotom, w nierównej walce zmagającym się z austryjakami w r. 1848 na ulicach stojącej w ogniu Vicenzy.

Te tkliwe wspomienia dalekiego dzieciństwa nie opuszczały Fogazzara przez cały ciąg życia; niejednokrotnie powracał do nich w swych utworach, zwłaszcza w „Piccolo mondo antico".

Ojciec Fagazzara przekazał synowi zarazem religijność. Wszelako, w duszy młodzieńca, religijność tradycyjna — oparta na wychowaniu — rychło ustąpiła przed religją przemyślaną, przed wiarą oświeconego umysłu, zbogaconego wynikami badań w zakresie filozofji i etyki. Krytyczny rozbiór Ewangelji w umyśle Forgazzara obdarzył siłą dowodową to, co tradycja przelała nieświadomie w wrażliwą duszę dziecka.

Fogazzaro, żarliwy entuzjasta, u nas znany wyłącznie tylko jako powieściopisarz, w ojczyźnie swej słynął przedewszystkim, jako apostoł. Doskonała znujomość filozofji starożytnej w połączeniu ze znajomością teologji katolickiej w ręku Fogazzara stawały się strasznym orężem: domagając się „duszy" od materji, i żądając idealizmu nawet od sceptyków uzbroił on przeciwko sobie szerokie kręgi powierzchownych monistów. Propagandą zaś duchownej wyłącznie władzy kościoła, obok potępienia wszelkich dążeń do pozyskania przezeń władzy świeckiej, wrogo usposobił przeciw sobie wpływowe duchowieństwo.

„Mistyk"— dla jednych, „nieprzyjaciel kościoła" dla drugich. Watykan prześladował pisarza włoskiego zarówno fizycznie jak moralnie: dzieła jego wciągano na *Index*, na urządzane przezeń odczyty kler wzbraniał chodzić wiernym owieczkom swej trzody.

Klątwa kościelna rzucona na wielką w szlachetnym stylu jego powieść „Il Santo" była dla „ostatniego z Gwelfów" ciosem niezmiernie ciężkim; 65-cioletni starzec, ścigany niechęcią wrogów, opuszczony nawet przez przyjaciół, postanowił odwołać się do „Jego Świątobliwości". Jednakowoż ani usilne zabiegi Rampolli ani poparcie innych kardynałów nic nie wskórało, — Merry-de-Val odniósł tryumf. Fogazzaro nie został dopuszczony przed oblicze „namiestnika bożego".

Złamany w długiej walce, zobaczył nagle, że zarówno urzędowy kościół katolicki, jak i urzędowy kościół starego liberalizmu jednakowo odpychają go od siebie, nie chcą go zrozumieć. Wtenczas zatrzymał się na chwilę, skupił resztę sił gasnących, — i napisał „Leilę", powieść, w której niektórzy pragną za wszelką cenę widzieć ze strony autora wyrzeczenie się tych wszystkich idej, którym przez całe życie hołdowali i ślepe poddanie się wyrokom kościoła. Całkiem niesłusznie: Fogazzaro i w tej powieści pozostał tym, kim był dawniej — wierzącym heroldem wolności, rojącym sny o przebudowie społeczeństwa przez oczyszczenie duszy człowieczej.

Pomijając rozbiór rzeczy artystycznych w spuściźnie literackiej Fogazzara, zatrzymaliśmy się na nim wyłącznie jako na moraliście, aby okazać, jaką rzadką postać przedstawiał ze siebie zgasły pisarz. Krew italska, zdawało się, jakby nie krążyła w jego żyłach: dzisiejsi potomkowie Galileusza i Giordana Bruna — są to ludzie praktyczni, sprawni kupcy, żeglarze, kooperatyści, adwokaci i dzielni przemysłowcy. Jeśli niekiedy wszczynają rozmowę o „teorji", o „duszy" lub innych tezach oderwanych, to o tyle tylko, o ile te zbędne naogół tematy wiążą się bezpośrednio z doraźną sprawą praktyczną

Człowiekiem, w całych Włoszech, być może, jedynym, który życie poświęcił kontemplowaniu Boga, był właśnie Antoni Fogazzaro; on to, w przeciwieństwie do d'Anunnzia i reszty „latyńczyków" — czuł wzgardę dla piękna cielesnego i nienawidził poezji kształtów. Pośród miljonów pogan, w ojczyźnie bałwochwalstwa, był on samotnym chrześcijaninem.

R.

BADANIA NAUKOWE

W dziedzinie ludzkiej pracy umysłowej.

Notatka bibljograficzna.

Każdemu, kto tylko chociażby stosunkowo nawet powierzchownie, jest obeznany z ruchem umysłowym na Zachodzie, nie może być zupełnie obce, a tymbardziej całkowicie obojętne, nazwisko Réville'ów.

Ojciec, Albert, pierwszy idąc za przykładem Hollendrów, wprowadził Historję Religji, jako przedmiot odrębnej umiejętności, na katedrę uniwersytecką w Paryżu; naturalnie, zyskawszy prawo do zrobienia tego kroku szeregiem dzieł i rozpraw, poświęconych religji, jako nauce. Jeszczem w 1906 r. bywał na jego wykładach w Collège de France. Był to atoli już rok przedostatni jego życia.

Syn, Jan, przez lat 24 był współpracownikiem a następnie redaktorem *Revue de l'histoire des Religions* i, jak ojciec, też profesorem tegoż co ojciec przedmiotu, początkowo na Fakultecie teologji protestanckiej i w Muzeum Guimet w Paryżu, nakoniec, w opuszczonym przez ojca z powodu śmierci, Collège de France. Sławne jego dzieło: *Le Quatrième Evangile, son origine et sa valeur historique* poprzedziło o lat parę również pod tym tytułem wydane przez Loisy. Oba te dzieła, wzajemnie się uzupełniając, stanowią ostatnie słowo tego, co nauka, w tym tak ważnym przedmiocie, jak pochodzenie i wartość historyczna IV Ewangelji, dotychczas wypowiedzieć zdołała. Pomieszczona w redagowanej przez niego „Revue" rozprawa *O Eucharystji* (za rok 1907—8) nawet jeszcze większe posiada znaczenie, gdyż jest dotychczas w tym przedmiocie i z tego puktu widzenia — jedyna.

Otóż Jan Réville w 1907 r. wygłosił w Collège de France szereg odczytów. Treścią ich było przedstawienie w historycznym rozwoju poglądów na istotę, pochodzenie i dzieje religji, poglądów atoli nie innych, tylko opartych bezpośrednio na badaniu materjału, dostarczonego przez same religje w postaci wierzeń, podań i różnych innych pozostałosci ich szczątkowych.

Jak wzmiankowana rozprawa *O Eucharystji* była ostatnim drukiem, tak też odczyty te — ostatnimi jego wykładami. W maju, 1908 r.. już nie żył.

Ostatnie te wykłady zostały wydane osobno pod tytułem: *Les phases successives de l'histoire des religions* (1909). Wydane w książce, formują IX rozdziałów. 1-szy nosi tytuł: Historja religji w Starożytności; 2-gi: Historja religji od początków Chrystjanizmu do powstania Racjonalizmu; 3-ci: Racjonalizm w XVIII-tym wieku; 4-ty: Pierwotne Objawienie i Religja naturalna; 5-ty: Odnowiciele badań religijnych: Herder i Schleiermacher; 6-ty: Hegel. Szkoła Symboliczna. Szkoła mityczna; 7-my: Szkoła filologiczna; 8-my: Szkoła antropologiczna; 9 ty: Szkoła historyczna.

Sama już istota podjętego przedmiotu zmuszała badaczy do wniknięcia w głąb natury ludzkiej; do wniesienia chłodnego światła nauki w najskrytsze tajemnice ducha; do ujęcia w formuły myślowe pierzchającego nawet przed myślą uczucia, nieświadomego najczęściej swego pochodzenia, zwykle — treści. Poglądy te, zebrane przez Réville'a w jedną całość, wypływając w swym historycznym rozwoju jedne z drugich, stanowią długi i wspaniały łańcuch. Piewszymi ogniwami sięga on mroków budzącej się dopiero myśli i wyobraźni ludzkiej; ostatnimi—wpada do oświetlonej wiedzą, wzmocniowej nauką świadomości współczesnego nam człowieka. Niektóre z nich bardziej związane zakresem i celem nauki, wytwarzają nawet *szkoły* osobne. Ujęte zaś jako całość — tworzą *historję* historji religji.

W części *pierwszej* swej pracy (*Prawda*, Nr. 43—45 z roku ub.) przedstawiłem *Historję Religji* w jej typowym okazie, mogącym stać się dla każdego programatem samodzielnych badań, ułatwieniem ich i do nich zachętą. Przeto obecnie, nim przejdę do jednej lub drugiej karty pojedynczej z samej Historji, zatrzymać się zamierzam na tej *Historji* historji, jako koniecznym *Wstępie* ogólnym do badań szczegółowych i choć z lekka, stosownie do ofiarowanego mi tu miejsca, dotknąć podstaw tych, opuszczając inne, szkół, które wytworzyły głównie taką Historję religji, jaką się ona nam dzisiaj przedstawia.

O filozofach, zwłaszcza Heglu, wspomniałem, pisząc *O Istocie Chrystjanizmu* (*Prawda*, Nr. 19—22 z r. ub.). Szkoły *symboliczna*, której przedstawicielem był *Creuzer*, *mityczna*, której przedstawicielem, przynajmniej w stosunku do Chrystjanizmu, stał się Dawid *Strauss*, i *filologiczna*, z Maksem Müllerem na czele, a hasłem: numen omen, łączyły mitologję z religją, biorąc częstokroć jedną za drugę, a przynajmniej, niedość stanowczo i wyraźnie je rozróżniały. Nawet dla tej ostatniej historja religji stawała się *Mitologją Porównawczą.*

Pozostają więc: antropologiczna i historyczna.

I. Szkoła antropologiczna w *Historji* historji religji powstać, z natury rzeczy, mogła tylko wtedy, kiedy powstała sama Antropologja, jako nauka odrębna. Antropologja zaś — kiedy zjawienie się człowieka na ziemi przestało być cudem, opiewanym tylko przez mity; kiedy szczątki kości ludzkich odkryły pochodzenie człowieka i jego uzdolnienie, szczątki pracy rąk ludzkich unaoczniły sposób życia, jakie mógł prowadzić ów człowiek pierwotny, i kiedy, nakoniec, resztki, rozsiane po niedostępnych dotychczas obszarach, lub zakątkach kuli ziemskiej, ludów, stojących na najniższym stopniu kultury, odpowiedniej temu, na jakim stały owe ludy pierwotne, wtajemniczyły antropologów i etnografów w wierzenia i obrzędy swoje religijne, które nie mogły być czym innym, jak tylko bezpośrednimi pozostałościami czasów pierwotnych. Wraz z Antropologją jako nauką, mającą za przedmiot *człowieka* bez względu na czas jego istnienia i miejsce istnienia, powstaje szkoła *antropologiczna* w badaniach istoty religji, jej początków i rozwoju dziejowego. I oto religja przedstawia się jako wynik dociekań pierwotnego człowieka o swoim pochodzeniu, stosunku do otaczających go istot i przedmiotów, oraz do spraw bieżących w życiu społecznym, jako pierwotna wiedza, choć oparta na obserwacji zewnętrznych i wewnętrznych zjawisk, lecz mylnie wyjaśnianych. Pojmowanie tych stosunków, objaśnianie zjawisk, było zależnym od uzdolnienia umysłowego jednostki a przez nią — ogółu. Uzdolnienie podlegało wciąż rozwojowi. Otóż i religje musiały się też rozwijać i co do form zewnętrznych i dogmatów zmieniać...

Twórcami tej szkoły są: E. B. Tylor, autor dzieł: *Primitive culture* (1871) i *The early history of Mankind* (1878) i Andrew Lang, autor: *Custom and Myth* (1884) i *Myth, ritual and religion* (1887). Późniejszymi jej przedstawicielami: F. B. Jevons (*An Introduction to the history of religions*, 1896 i 1907) i Grant Allen (*The evolution of the idea of God*, 1897).

Za mistrzami podążyły w każdym kraju dziesiątki, mniej lub więcej wybitnych pracowników. Badania ich objęły głównie sfery zjawisk religijnych: 1) w życiu ludów *nieucywilizowanych* (religje ludów dzikich); 2) w życiu narodów ucywilizowanych: przeżytki szczątkowe cywilizacji pierwotnych w cywilizacjach historycznych (folk—lore.)

Niezależnie od przedmiotu badań, czy to samych religji współczesnych ludów dzikich, czy też tylko szczątków tych religji w religjach historycznych, to jest — świata ucywilizowanego, w tych badaniach dwojaki uwydatnia się kierunek: *psychologiczny* i *socjologiczny.* W pierwszym — badacze dociekają oddziaływania opisywanych zjawisk religijnych na usposobienia wewnętrzne, duchowe, człowieka. W drugim — rozstrząsają przedewszystkim doniosłość społeczną tych zjawisk.

Przedstawicielem pierwszego kierunku wybitnym jest J. G. Frazer, autor: *The golden bough* (2-gie wyd. 1900 r. I — III), *Pausanias, The Psyche's task.* Drugiego, współpracownicy *Année Sociologique* (Durkheim, Hubert, Mauss, Bouglé i inni).

II. Szkoła antropologiczna, pomimo szerokich podstaw swych badań, obejmujących w czasie początki kultury, w przestrzeni — całą kulę ziemską, jako siedlisko człowieka, przy całej swej świetności, powabie,

zasługach dla nauki i znaczenia dla ogólnej wiedzy, nie uniknęła atoli niebezpieczeństwa, wynikającego ze zbytniego pogrążenia się we własnych swych zadaniach, a więc, koniecznej jednostronności. Dla wielu, ze współczesnych nam historyków z tej szkoły, inne religie, oprócz ludów dzikich nie istnieją; inne zjawiska religijne, jak szczątkowe pozostałości, już na badania nie zasługują; co nie jest bezpośrednim przeżytkiem tabu i totemu, już pomijają, czy też lekceważą.

Zadaniem wszakże historyka religji być powinno nie tylko zbieranie i zużytkowywanie wszelakich materjałów, tyczących się wszystkich bez wyjątku religji, zarówno tekstów ksiąg jak i napisów, przedmiotów samego kultu jak i przyrządów, służących do obrzędów: lecz, co główniejsze, odtwarzanie, w związku z przeszłością i przyszłością, tej chwili dziejowej, która wydała, duchowego usposobienia i umysłowego rozwoju tego otoczenia, z którego pochodzi każdy dany dokument, niemy a zarazem i wielomówny świadek swoich czasów dla tego, kto się uzdolnił do słuchania jego i rozumienia. Powstała więc szkoła historyczna.

Na czele jej stoją: dwaj Holendrzy, Tiele i Chantepie de la Saussaye, Niemiec, von Orelli, autorowie pierwszych historji powszechnych religji; Albert Réville (*Prolégomènes à l'histoire générale des religions*); Goblet d'Alviella (*Introduction à l'histoire générale des religions*): M. Jastrow (*The study of religion*, 1902). Należący do tej szkoły wydają: *Handbooks on the history of religions* i *Religions geschichte in Einzeldarstellungen*; *Annales du Musée Guimet.* Jak również *Revue de l'histoire des religions* (od 1880) i *Archiv für Religionswissenschaft* (od 1904).

Z tej szkoły badacze są niezależni, i być nimi powinni, od wszelkich uprzedzeń (parti pris) religijnych, antireligijnych lub filozoficznych. Unikają też wszelkich bezwzględnych grupowań i podziałów, jakgdyby wszyscy ludzie, chociażby z jednego okresu dziejowego, mogli stać na jednym poziomie rozwoju umysłowego wskutek swego jednakowego uzdolnienia. Nawet w ognisku najwyższej cywilizacji mogą się zdarzać jednostki z pierwotnymi usposobieniami religijnymi. Dla tego też nie cofają się od współpracownictwa takich psychologów jak W. James, Wundt i psychofizjologowie francuscy.

Historja religji jest wielką i pożądaną uspokoicielką w dziedzinie sporów religijnych. Nie może być przeto ani katolicką, ani protestancką, lub wolnomyślną. Jest jedną — naukową. Jako taka, nie ma na celu udowodnienia wprzód powziętych założeń. Poważając wszelkie usposobienia, przemawia tylko do rozumu. Powołując się na świadectwo faktów, światłem z nich bijącym rozjaśniając ciemnoście dziejowe, nie pogardzając nikim i niczym, do jednego tylko dąży: przedstawienia rzeczy, jak są — dla ogólnego pożytku.

I. Radliński.

KRYTYKA.

Ludzie Daniłowskiego.

G. Daniłowski jest naturą nawskroś dogmatyczną. Tkwi w nim zasada: należy w coś wierzyć bezkrytycznie, a potym już można być szczęśliwym: człowiek jest ocalony. Jedynym ratunkiem na zawiłą chorobę życia jest dogmat. P. Dan. umiłował dogmat społecznego rewolucjonizmu, choć do tego celu nadaje się równie dobrze każdy inny. Chodzi bowiem nie o życie samo, nie o nieustanną twórczość i rozstrzyganie żywe, jak postąpić, (lub może nie postąpić wcale!) lecz poprostu o pewność mechaniczną, o brak wyrzutów sumienia, wątpliwości, rozterki i walki z samym sobą. Życie pod wejrzeniem Dan. staje się nagle niesłychanie płaskie i proste, a komplikacje życia — czczym wymysłem. Bohaterowie Dan. wcale nie myślą ani się łamią. Wszystko rozstrzygnęła poza nimi siła wyższa — partja. Są to pionki, poruszane cudzą ręką, kukiełki i manekiny, nie różniące się niczym od zwykłych, pogardliwie traktowanych „burżujów", prócz tego, że w pewnym punkcie swego zwyczajnego organizmu zaszczepiony mają gruczoł rewolucyjny. Ten guz wcale nie boli, nie dokucza gorączką — czasem tylko sprowadza wymioty frazeologiczne. Wśród bohaterów Dan. niema nawet natur wybuchowych, dla których czyn gwałtowny jest wyzwoleniem wrodzonej energji, niema fanatyków idei, którzy z pożarem w głowie, z entuzjazmem rozognionej wyobraźni popełniają czyn fatalny. Nie. Zazwyczaj przed wykonaniem niebezpiecznego zamachu, ludzie Dan. bawią się w najlepsze, niewinnie ścigają z kobietami, żyją jak rośliny. Nadchodzi moment krytyczny i człowiek Dan. dźwiga się jak za naciśnięciem sprężyny, idzie i uderza „w czynów stal". Być może, że tak jest w istocie, lecz takie zmechanizowanie człowieka dla sztuki jest klęską. Ztaje się on ubogi duchem, mniej lub więcej barwną powierzchnią tylko, a nie — głębią.

Zmechanizowawszy swego człowizka, Dan. z niemniejszą lekkomyślnością wikła wątek utworu, jeżeli uzna, że jest mu to potrzebne. Oto przykład. W opowiadaniu „Za ścianą" Janusz Tarczyński sąsiaduje w więzieniu z pewną młodą osobą—Klarą. Obie strony porozumiewają się za pomocą stukania z początku, a potym za pomocą listów, wsuwanych przez szparę w ścianie. Miłość wybucha między nimi, lecz rozdzielają ich surowe losy. Skazany na zesłanie Tarczyński, po kilku latach ucieka z głębi Rosji i szuka swej „jasnej" za granicą, dokąd wyjechała po uwolnieniu. Dowiaduje się wreszcie, że owa pani mieszka niechybnie w pewnym mieście i pewnym pensjonacie. Przybywa na miejsce. W owym pensjonacie mieszkają dwie Polki — obie jasnowłose i niebieskookie — jak owa poszukiwana Klara. Janusz, tęskniący niezmiernie całe lata do „ukochanej" i ścigający ją po całej Europie, skoro ujrzał dwie piękne Polski — bez wahania zwraca się w stronę okazalszej. Uprowadza ją pospiesznie w głąb parku i tam obsypuje pocałunkami. Okazuje się jednak, że popełnił omyłkę: Marta nie jest Klarą. Zdawałoby się, że skoro z tych dwu kobiet jedna jest Klarą, ale nią nie jest Marta, to Klarą jest druga z tych dwu kobiet: ten wniosek nasunąłby się każdemu, ale Janusz T. w żaden sposób wpaść nie może na podobny pomysł. Bo gdyby wpadł i odnalazł Klarę, (która znowu sama nie chce się zdradzić przez dumę i wspaniałomyślność), to Klara nie musiałaby się zamartwić na śmierć i umrzeć na suchoty, a Janusz, ożeniony z pospolitą Martą, nie potrzebowałby się dowiadywać po niewczasie z pamiętnika zmarłej, jaką to ofiarę z siebie złożyła ona dla niedomyślnego. Lecz z całej tej smutnej historji widać, że Dan., obdarzając swe postaci zamiast duszy mechanizmem zegarowym, nie waha się w pewnej chwili obdarzyć skądinąd sympatycznie traktowanego bohatera olbrzymią dozą niedomyślności, graniczącej już bezpośrednio głupkowatością — byle nie stawał na przeszkodzie zamysłom patetycznym.

Autor „W miłości i boju"[1]) reprezentuje w naszej literaturze gatunek naiwny. Ulega on złudzeniu, jakoby człowiek był interesującym dla artysty nie dlatego, że jest człowiekiem, że się urodził, żyć musi i śmierć go czeka, lecz dlatego, że jest wyznawcą pewnych zasad. Dopóki człowiek nie jest owych zasad

[1]) Gustaw Daniłowski: „W miłości i boju". Kraków 1911. Spółka nakład. „Książka".

wyznawcą, Dan. zwraca się do niego ozięble, bokiem, mruczy pod nosem, sarka, przepowiada mu marną wegetację i koniec marny, traktuje go z przekąsem i niesmakiem. A kiedy ów człowiek da się nawrócić, Dan. wyjmuje z niego duszę, pakuje weń niezawodny mechanizm zegarowy i mówi:

— Patrzcie, oto jeszcze jeden — ocalony!

Leon Choromański.

Kronika teatralna.

TEATR MAŁY.

Jako ostatnią nowość repertuaru niemieckiego wystawił Teatr Mały komedję Hermanna Bahr'a p. t. „Dzieci", utwór grany po raz pierwszy przed trzema miesiącami na kilkunastu scenach równocześnie. Nie dotykając zupełnie fabuły sztuki, zaznaczyć głównie wypada, że chodziło zdaje się autorowi „Żółtego Słowika" nie o tezę (stosunku dzieci do ich prawych i nieprawych rodziców, głosów krwi, wychowania i tym podobnych zagadnień natury psycho-fizjologicznej), bo ta była już w należytej mierze podkreślona w dwóch nowelach o zgoła analogicznej ze sobą i ze sztuką treści: w „Głosie krwi" („Die Stimme des Bluts") samegoż Bahra i w niezależnym pono od niego opowiadaniu Ferdynanda Kuernbergera p. t. „Dzieci wybitnych ludzi" (Die Kinder der Vornehmen).

Nie o powtarzanie tedy jednej i tej samej tezy i fabuły, nie o przeróbkę chyba noweli na komedję iść mogło Bahr'owi, lecz powodu powyższej transpozycji szukać tylko należy w parciu komedjopisarza do dosadniejszego uwypuklenia przez sceniczny djalog pewnych interesujących go konfliktów i stanów w samej fabule.

Iść więc mogło autorowi li o satyryczne oświetlenie stosunku do siebie dwóch ojców, z których każdy przypuszcza narazie, że był istotnym rodzicielem dzieci obojga rodzin, — iść mogło również o wydobycie całej płytkiej samczej dumy przed wyjaśnieniem faktu, że stanowili oni wraz z żonami czworobok małżeński, i śmiesznej obrazy wzajemnej po zobopólnych rewelacjach.

Ujęcie takiej sytuacji snadniej się przeprowadzić zdawało Bahr'owi na scenie niż w książce. Uczynił więc to, — napisał doskonały djalog między dwoma ojcami, djalog o skrzącym się a syczącym dowcipie, o szerokich, pewnych chirurgicznych cięciach poprzez egoizmy samcze, a do tego majstersztyku dorobił trzyaktową „komedję". Że „komedja" ta dłużąca się w akcie pierwszym przez trzy czy cztery monotonne w ciągłych nawrotach do raz już ustanowionych rzeczy sceny ekspozycyjne, o akcie drugim wkraczającym stanowczo w ramy dramatu i nagle przeskakująca w świetną groteskę aktu trzeciego, że „komedja" ta została podpisaną do wyżej wzmiankowanego djalogu dwóch ojców, — wierzyć musimy, gdyż tylko w ten sposób objaśnić sobie można niesamowite łamanie się tonu całej sztuki a zmusza nas do tego pamięć o Bahr'ze autorze tak dobrze jednolitego i konsekwentnego w linji konstrukcyjnej „Koncertu". To co było istotną koncepcją jest doskonałą sceną, to zaś co jest dorobione, by stała się trzyaktowa „komedja" służy męczącym dowodem, że przeróbki na scenę nowel in toto nie uchodzą bezkarnie nawet majstrom. W rezultacie wynosi się wrażenie, że nie wszystko jest dobrym, co się dobrze kończy — — —

Po „Koncercie" wirtuoza scenicznego narodziły mu się „Dzieci" słabowite przez dość sztuczny poród.

Kazimierz Wroczyński.

Z muzyki.

Koncert, na którym wykonano wspaniałe „Requiem" Mozarta, zaliczyć należy bez wątpienia do najwybitniejszych z ostatnich czasów. Zważywszy, iż potężne to dzieło jest u nas prawie wcale nieznane i że wykonania „Requiem" w całości nikt z nas nie pamięta, zrozumiemy łatwo zainteresowanie, jakie wzbudził ów koncert wśród naszych miłośników sztuki muzycznej.

Mozart, ów gienjusz wszechstronny, nie pozostawił również odłogiem dziedziny muzyki oratoryjnej, której przysporzył dzieł kilka z pomnikowym „Requiem" na czele. Niepospolitą wartość tego arcydzieła uznał świat cały, a wszystkie poważniejsze stowarzyszenia śpiewacze wykonywają je z należytym pietyzmem obok natchnionych dzieł Bacha, Beethovena, Haydna i Händla. U nas pod tym względem stan rzeczy przedstawia się daleko gorzej, nie posiadamy bowiem w Warszawie stowarzyszenia śpiewaczego, któreby, podobnie jak w innych centrach kulturalnych Europy, poświęciło się wyłącznie propagowaniu wspaniałej, wzniosłej muzyki oratoryjnej, więc koncerty podobne są u nas niestety bardzo rzadkie i należą do momentów niezwykłych naszego życia muzycznego.

Tymbardziej więc podnieść należy działalność prof. Henryka Melcera, artysty o niepospolitej kulturze muzycznej, którego energicznej pracy zawdzięczamy wykonanie monumentalnego dzieła Mozarta. Jako kierownik filharmonijnego chóru, złożonego przeważnie z sił amatorskich, prof. Melcer potrafił je zjednoczyć i natchnąc zamiłowaniem do pracy poważnej. W zeszłym roku np. usłyszeliśmy wspaniałe oratorjum („Błogosławieństwa") francuskiego kompozytora Cezara Francka, a obecnie prócz „Requiem" ma być wykonana również IX-a symfonja Beethovena, w której, jak wiadomo, część ostatnia zawiera potężny hymn (oda Schillera) na chór i głosy solowe. Z zadowoleniem też stwierdzić należy, iż produkcje chóru filharmonijnego sprawiają zawsze bardzo dodatnie wrażenie, świadcząc o wytrwałej, zgodnej pracy zespołu i utalentowanego dyrygienta; przypuszczać więc można, że młoda organizacja artystyczna rozwijać się będzie pomyślnie i doskonalić coraz bardziej.

Prócz chóru (mieszanego), Warsz. Ork. Symfon. i prof. Surzyńskiego, który odtworzył partję organową, w wykonaniu „Requiem" brał udział kwartet wokalny, złożony z pp. Birnbaumowej (sopran), Pietraszewskiej (alt), Dziedzickiego (tenor) i Szepietowskiego (bas). Poszczególne partje kwartetu, opracowane starannie, złożyły się na całość dobrze brzmiącą, wyróżnić zwłaszcza należy p. Birnbaumową, występującą po raz pierwszy, której ładny, dźwięczny głos sopranowy oraz wykonanie, niepozbawione muzykalności i wyrazu artystycznego, życzliwie bardzo usposobiło słuchaczy.

Dodać należy, iż wykonanie „Requiem" pod artystyczną dyrekcją prof. Melcera zyskało ogólne uznanie, dowodem czego dwukrotne powtórzenie Mozartowskiego arcydzieła na koncertach następnych. Fakt to wielce pocieszający: widocznie poważna, wzniosła muzyka klasyczna zaczyna coraz liczniejszych jednać sobie zwolenników wśród naszej publiczności.

* * *

Z działalności naszej sceny operowej mamy do zanotowania wystawienie dramatu muzycznego w 2-ch aktach, z prologiem p. t. „Niziny" („Tiefland") Eugenjusza d'Alberta, znakomitego pianisty, uprawiającego również niwę kompozytorską. Z paru napisanych dotąd przez niego oper, tylko „Niziny" zdobyły powodzenie i utrzymały się na repertuarze wielu zagranicznych scen, a nawet cieszą się niezwykłą popularnością, dowodem czego kilkaset przedstawień tej ope-

ry w Berlinie. A jednak „Niziny" pod względem muzycznym wybitnych zalet nie posiadają. Nie znaczy to, by muzyka pozbawiona była zupełnie wartości, przeciwnie, faktura zdradza wiedzę i umiejętność autora, popartą doświadczeniem w wyzyskaniu kolorytu orkiestrowego, powściągliwość w używaniu harmonji dyssonansowych świadczy pochlebnie o dobrym smaku i poczuciu artystycznym, nie brak też w operze ładnych, efektownych ustępów, jednak wartość wszystkich tych cech dodatnich obniża znacznie okoliczność wagi pierwszorzędnej, brak mianowicie oryginalności. Wszędzie bowiem odnajdujemy wyraźne bardzo ślady wpływu wielkiego Wagnera, jak również najwybitniejszego przedstawiciela muzyki włoskiej, Puccini'ego, którym to wpływom „Niziny" zawdzięczają swoje najbardziej interesujące szczegóły.

Zdaje mi się, iż źródło powodzenia opery d'Alberta kryje się w doskonałym libretto, które wyszło z pod pióra Lothara (podług dramatu A. Guimery) i zawiera treść poetycką, niepozbawioną głębszej wartości artystycznej; poza kilkoma zbytecznymi szczegółami, które hamują tok akcji i wydłużają zanadto całość, libretto jest doskonale pomyślane i przykuwa uwagę słuchacza swym silnym, dramatycznym wyrazem do tego stopnia, iż muzyka wydaje się często dodatkiem, niekoniecznie nawet potrzebnym. Pod tym względem „Niziny" mają pewne podobieństwo z „Quo Vadis" Nougues'a, gdyż w obydwuch tych dziełach libretto i wystawa grają rolę pierwszorzędną, z zastrzeżeniem oczywiście, iż opera d'Alberta stoi muzycznie o całe niebo wyżej od opery Nougues'a.

Przytoczenie treści poetyckiej „Nizin", jak również sprawozdanie z wykonania zajęłoby zbyt wiele miejsca, poprzestanę więc na zaznaczeniu ogólnikowym, iż operę d'Alberta wystawiono bardzo starannie, za co artystom, biorącym w niej udział z utalentowanym kapelmistrzem p. Cimini na czele oraz reżyserji należą się wyrazy uznania.

A. Zabłocki.

NA DOBIE.

Taras Szewczenko.

W 50-tą rocznicę zgonu.

Dzień 11-go Marca był dla Ukrainy dniem uroczystej pamiątki. Naród ukraińców święcił półwiekową rocznicę śmierci największego swego poety, promotora ruchu narodowego i wieszcza.

Szewczenko bowiem był nietylko poetą: był on wybrańcem ludu, wyrazicielem jego ideałów, żywym pomnikiem jego przeszłości. Wszystko to, czymkolwiek podówczas żył lud Ukrainy — świetne wspomnienia historji, paląca nienawiść względem ciemiężców współczesnych oraz marzenia o doli przyszłej — wszystko to znalazło w pieśni jego wyraz pełny. Wszystkie znamiona i właściwości narodowe, cała psychologja ludowa odbiła się w twórczości jego z żywiołową wprost bezpośredniością.

„Ukraina — to ja!" — miałby prawo powiedzieć o sobie genjalny kobzarz. Ani na chwilę oderwać go niepodobna od tła jego ojczyzny. Każda myśl poety, każde uczucie przywiązane jest do niej, u jej progów się zaczyna i w progi jej powraca. Wszystkie jego łzy, klątwy i błogosławieństwa drgały i płomieniły się wokół imienia Ukrainy. Tam, pośród cierpień nieszczęsnego, wyzutego z praw ludu, wybuchnął słupem ognistym nieposkromiony protest jego przeciw wazelkiemu uciskowi — zapalił się w piersi jego gniew dawnych proroków, tam serce jego po brzegi wypełniło się miłością ku wszystkim cierpiącym... Tam dążyły wszystkie jego pragnienia i tęsknoty — z zimnego Petersburga, z dalekiego wygnania. Szewczenko kochał gorąco swą "Ukrainu" — kochał nad życie. Nieprzesadzał bynajmniej, gdy mówił, że jest dlań rzeczą obojętną, czy pamięć jego przetrwa u potomnych, byle żyła w szczęściu Ukraina:

Ja tak ii, ja tak ljubljû
Moju Ukrainu ubogu,
Szczo prokljanu swiatoho Boha,
Za niei duszu pohubljû!

Nie będziemy w tym krótkim wspomnieniu przytaczać życiorysu Szewczenki: wyrył się on niezatartymi zgłoskami w księdze dziejów ruchu narodowego na Ukrainie; nie będziemy też wyliczać szeregu jego dzieł, gdyż te znalazły jnż miejsce wieczyste w historji literatury — i żywej pamięci ludu.

Życie poety było ciężkie: trawiła je niewola i głód i wygnanie; twórczość jego torować musiała swe drogi skroś nadludzkie przeszkody i nadludzkim je zwyciężała wysiłkiem. Nić życia jego przerwana została w 47-ym roku, wówczas, gdy zazwyczaj następuje dopiero rozkwit sił twórczych.

Wielokrotnie atoli wyrażane przezeń pragnienie, aby wiadomość o jego męczarni wraz z całą epopeją ognistej jego pieśni zapadła w głębinę duszy ludowej, ziściło się w zupełności.

W potomnej pamięci rodaków Szewczenko wzniósł sobie ołtarz trwały; pokolenia obecne i przyszłe najszlachetniejszych synów Ukrainy pielgrzymują i pielgrzymować będą, aby hołd głębokiej czci i wdzięcznej miłości złożyć u pomnika jego sławy; a do nich przyłączą się zarazem ci wszyscy, którzy kochają, piękno, którzy czczą wniosłość i potęgę genjusza ludzkiego. O przedwczesnym zaś zgonie poety z bólem kiedyś wspominać będą następcy nasi, wówczas, gdy na ziemiach naszych wstaną nareszcie dni jaśniejsze i przecierpiane przez wielkiego Ukraińca męczarnie wydadzą się jakąś wstrząsającą a potworną bajką.

Żydzi w dawnej Polsce.

P. Natalja Gąsiorowska wygłosiła 10-go b. m. odczyt na powyższy temat w Towarzystwie Kultury Polskiej.

Żydzi przybywają do Polski jeszcze za czasów przedhistorycznych. Rozproszeni i słabo zorganizowani wyznaniowo zlewają się stopniowo z otoczeniem, przyjmują język polski, słowem są na drodze do zupełnego spolszczenia się, gdy w XV-ym wieku napływa fala wyznawców żydowskich z Niemiec, która miesza się z żydami polskimi, narzuca im język niemiecki i konsoliduje w jednolitą organizację. Organizacja ta z początku jest tylko wyznaniowa, gdyż silna władza królewska trzyma ją w ściśle ograniczonych karbach. W miarę jednak osłabienia władzy królewskiej — organizacja żydowska uzyskuje wszystkie cechy zamkniętego, wyodrębnionego państwa w państwie. To wyodrębnienie staje się źródłem zarówno nędzy samych mas żydowskich, jak i upadku polskiego żywiołu mieszczańskiego.

Przebiegłszy próby rozwiązania kwestji żydowskiej przez zrównanie żydów w prawach i obowiązkach z ludnością polską, próby czynione przez sejm czteroletni, przez Staszyca, przez Księstwo Warszawskie, przez Czartoryskiego w Królestwie Kongresowym, wreszcie przez Wielopolskiego w r. 1862-im, prelegentka doszła do chwili obecnej, żywo przypominającej wiek XV-ty, a której główną cechą jest napływ wygnańców żydowskich z Rosji. Wygnańcy ci rusyfikują i konsolidują wyodrębnione masy żydowskie, tak samo, jak w XV-ym wieku czynili to żydzi wypędzeni z Niemiec.

Rządy pani Dulskiej.

„Kilka dni temu — pisze korespondent jednego z dzienników warszawskich — miał się odbyć w Zakopanem odczyt p. Bronisława Wróblewskiego o utworze *„Moja Pani"* księdza Zimermanna. Na dwie godziny przed odczytem komisarz miejscowy postawił swoje *veto*, motywując to z jednej strony „zdenerwowaniem" mieszkańców Zakopanego, a z drugiej strony ewentualną interwencją „czynną" uzbrojonych sokołów.

Zgromadzona tłumnie przed salą „Sokoła", publiczność, zdumiona rozporządzeniem komisarza, musiala jeszcze wysłuchać oznajmienia sekretarza „Sokoła" który oświadczył, że gdyby zarząd „Sokoła" był wiedział o charakterze odczytu, toby odmówiono poprzednio sali; teraz zaś ograniczył się do niewpuszczania prelegenta i zebranej publiczności do wynajętej sali.

Wobec jednak ogólnego zainteresowania i głośnego domagania się publicznoćci, prelegent zmuszony był wygłosić w udzielonym mu mieszkaniu prywatnym zapowiedziany odczyt".

Ten na pozór błahy wypadek nasuwa niewesołe myśli o wewnętrznej niewoli, jaką zdołali sobie narzucić nasi ziomkowie w Galicji pod egidą pani Dulskieji i otaczających ją koterji klerykalnych.

Gdyby tak ściśle i szczegółowo zbadać co *wolno* w automiecznej Galicji, a czego pod żadnym pozorem *nie wolno*, toby się okazało, ku zdumieniu niejednych, że można tam ostro krytykować państwowość austrjacką, natrząsać się z c.-k. dostojników, głosić zagładę współczesnego ustroju, zmieniać mapę Europy i zakładać nowe państwa — ale nie wolno targnąć się na majestat pani Dulskiej *recte „Mojej Baby"* księdza prof. Zimmermanna...

Ciekawe bo są te stosunki galicyjskie! Socjalni demokraci gromią z mównic zgniły ustrój burżuazyjny w obliczu grzecznych komisarzy, różni działacze apokaliptyczni przepowiadają bez żenady polityczny koniec świata, nawet anarchizm nie znajduje przeszkód w roztaczaniu swoich niecierpliwych wizji, ale zato cały szereg wydawnistw *Myśli Niepodległej*, cieszących się wolnością w Warszawie, został w Galicji skonfiskowany, a mianowicie: *Sprawa legend i objaśnienia katechizmu — Co powinieneś wiedzieć — Katechizm wolnego myśliciela — Klasztory przed sądem ludu — O pochodzeniu naszego Boga* ..

Wyżej wyłuszczone fakty polecamy gorąco uwadze tych naszych ideowców, romantyków, prometeistów i winkelriedów, którzy stronią od skromnej naszej placówki, by zasię iść w kierunku „większego oporu"... Niechże się raz przekonają, że faktycznie Myśl Wolna spotyka na ziemiach polskich opór największy.

Troski Syreny.

Skończywszy fantastyczny cykl wesołych opowieści o trzecim moście, tramwajach, rzeźni i lasku młocińskim, Syrena otuliła ciepłym szalem swój biust śnieżno-biały i rzekła z miną stroskaną:

— Dzień każdy przysparza mi nowych kłopotów. Oto znów p. Małyszew upodobał sobie plac za Żelazną Bramą, wymarzone, jego zdaniem, miejsce dla nowego teatru. Sympatyczny prezes teatrów gościł niedawno w Paryżu i badając przepiękną perspektywę Pól Elizejskich doszedł do wniosku, że warszawska świątynia sztuki musi stanąć koniecznie u wylotu ulicy Gnojnej, wśród zgiełku przekupniów, huku wozów ładownyh i ciasnoty straganów.

Niefortunny ten projekt nie jest zresztą własnym p. Małyszewa dziecięciem; poroniło go w swoim czasie b. kuratorjum trzeźwości i zmarło po tym wypadku. P. Małyszew adoptował potworka...

Jednocześnie magistrat biedzi się nad wyszukaniem odpowiedniego placu pod budowę nowej giełdy. Lokal przy ul. Królewskiej okazał się za szczupły, i nasze walory nie mogą się tam swobodnie „obracać". Komitet giełdowy z właściwą sobie bezwzględnością chciał zagarnąć kawał ogrodu Saskiego w celu rozszerzenia gmachu, ale magistrat, który miewa przecież niekiedy *lucida intervalla*, odwiódł go od tego zamiarn, nie chcąc uszczuplać ogrodu, za co należy mu się uznanie...

Nasuwa się pytanie, co zrobić z giełdą? Otóż pozwalam sobie mniemać — a moje zdanie jest chyba miarodajne w tej kwestji — że giełda czuć się będzie doskonale na placu za Żelazną Bramą, w idealnym dla siebie miejscu i środowisku, w samym centrum świata bankowo-kupieckiego i w doskonałej harmonji z pobliskim targowiskiem Trudno wymarzyć lepszy *ensemble*. Niech miasto odda giełdziarzom ten plac, zyska natomiast spory szmat ziemi w Ogrodzie Saskim.

Co zaś do p. Małyszewa, piastującego miłośnie dziecię b. kuratorjum trzeźwości, to bardzo mu się chwalą jego dobre chęci, dlatego też chcę mu w jego bezradności dopomóc. Ponieważ teatry są własnością rządową, przeto będzie na miejscu jeśli p. Małyszew upatrzy sobie jaki plac rządowy w śródmieściu, gdzie ich niebrak, i załatwi tę sprawę *en famille*.

Polecam jego uwadze plac Warecki, a specjalnie rozległe tereny poczty, gdzie wśród stert nawozu i słomy mieszka para dychawicznych bydląt. Przypuszczam, że władze nie kultywują specjalnie tej arkadji dla jej sielskiego nastroju, a przytym nowy gmach poczty, jeśli kiedykolwiek będzie zbudowany; zajmie nieznaczną część terenu, radzę tedy p. Małyszewowi złożyć tam poroniony owoc trzeźwości b. kuratorjum.

W ten sposób Ogród Saski zyska na przestrzeni, giełda otrzyma lokal odpowiedni dla swych gwarnych tranzakcji, na placu Wareckim stanie gmach monumentalny zamiast obecnego śmietnika, a moje miasto posiądzie teatr z fasadą nareszcie widzialną i dostępną.

— To wszystko jest bardzo proste i wcale nietrudne — dodała Syrena po chwili — dlatego też nie dojdzie do skutku.

Pamięci Nałkowskiego.

W sobotę 11-go odbył się w sali Muzeum zbiorowy odczyt ku uczczeniu pamięci Nałkowskiego. Dochód z odczytu przeznaczono na wydanie dzieł zgasłego, pozostałych w rękopisie, a których Kasa Mianowskiego w swoim czasie nie uznała za stosowne wydać. Pomimo dość drogich biletów — publiczność stawiła się tłumnie. Na estradzie stał ukwiecony portret Nałkowskiego.

Odczyt rozpoczął prof. Jezierski wezwaniem do uczczenia pamięci zgasłego przez powitanie. Następnie scharakteryzował działalność Nałkowskiego, jako uczonego, wykazując zarówno nowe ideje i nowe metody, wniesione przez niego do nauki gieografji, jak i podkreślając prawdziwe piękno jego stylu. P. Krzywicki, drugi prelegent, charakteryzował indywidualistyczny światopogląd społeczny Nałkowskiego, któremu hołdował inny równie wielki gieograf Elizeusz Réclus. Jakiekolwiek się stawia zarzuty krytyczne temu światopoglądowi, jednej zalety odmówić mu niepodobna, a mianowicie niezmiernie wysokich wymagań jakie stawia człowiekowi, jako rozumnej i odpowiedzialnej za swoje czyny jednostce: Nałkowski — surowy dla siebie, był wymagającym i dla innych; to też całą furją swego temperamentu uderzał na jednostki szkodliwe dla rozwoju ogólnego. P. Goldschmit (Korczak), scharakteryzowawszy typ uczonego odtwórcy, gromadzącego materjały i typ uczonego twórcy, dającego syntezę — dowodzi, że Nałkowski

był uczonym twórcą w najwyższym tego słowa znaczeniu.

Wreszcie p. Belmont w przemówieniu, ilustrowanym cytatami z artykułów Nałkowskiego, scharakteryzował polemiczną działalność zmarłego.

Kilka uwag o pachciarzach marksizmu u nas.

W jednym z ostatnich numerów „Naszej sprawy", pisma propagującego ideologję esdekowską, ukazało się „sprawozdanie" z 1 tomu mojej „Rewolucji Rosyjskiej", które jest tak charakterystyczne dla umysłowości naszych pachciarzy marksizmu, że warto się na nim zatrzymać. Pomijam tu osobiste zaczepki p. T. Rawskiego, jednego z najnaiwniejszych między naiwnymi, jego „informację" dotyczące redakcji „Kultury" i inne temu podobne kłamstwa, które są tylko wesołe i oczywiście nie mogą mnie dotknąć. Zatrzymam się tylko nad „argumentami" p. R. dotyczącymi zagadnień teoretycznych, i typowymi dla umysłowości esdekowskiej. Esdecy nasi, ludzie małej bardzo kultury umysłowej, nie mają zazwyczaj najelementarniejszego pojęcia o zagadnieniach filozoficznych, ekonomicznych i socjologicznych, natomiast lubią się upajać głośnymi wyrazami, których treści zupełnie nie rozumieją. Wyrazami takimi są zazwyczaj: „materjalistyczne pojmowanie dziejów", „konieczność", „klasowość", „djalektyka" i t. p.

P. Rawski poucza mię, że Marks rozwiązał całkowicie zagadnienie stosunku ruchów żywiołowych do akcji planowej, czynników ekonomicznych do ideologji. Otóż gdyby ten młodzieniec miał jakie takie pojęcie o tym co się dzieje na świecie, a choćby tylko w obozie marksistów, to wiedziałby, że tak nie jest.

Istotnie, nawet w sprawach pierwszorzędnej wagi teoretycznych i praktycznych „najwięksi" „ortodoksi" różnią się bardzo znacznie pomiędzy sobą. Przytoczę tu kilka faktów: Kautsky, przed 4-ma czy 5-ma laty, napisał traktat o rozwoju etyki z punktu widzenia materjalistycznego pojmowania dziejów, inny niemniej znany „ortodoks" Mehring poddał tę książkę, z tego samego punktu widzenia, druzgocącej krytyce. Przed laty z górу 20 Kautsky napisał rozprawę o rozwoju rodziny i małżeństwa, po której Engels wydał swoją znaną pracę o początkach rodziny, własności i państwa. Obie te rozprawy, napisane z punktu widzenia „materjalistycznego" pojmowania dziejów, dochodzą w wielu podstawowych sprawach do wniosków wprost przeciwnych.

Od teorji przejdźmy do praktyki.

Plechanow, w poglądzie na taktykę socjal-demokracji rosyjskiej w latach 1905 i 1906, wypowiedział się bardzo ostro przeciwko postulatom dyktatury proletarjatu i włościaństwa, wysuwanym przez t. z. „mniejszowców". Doradzał oględność i chwilowe bloki z kadetami przy wyborach; Kautsky natomiast stał na punkcie widzenia innym i naogół uznawał taktykę „mniejszowców" za słuszną.

Przed pół rokiem w Niemczech, Róża Luksemburg, największy autorytet dla naszych pachciarzy marksizmu, zalecała w Niemczech (oczywiście z materjalistycznego punktu widzenia) szeroką akcję republikańską wśród proletarjatu i strejk powszechny; inni zaś ortodoksi niemieccy z Kautskym na czele, wychodząc z tych samych założeń zwalczali te pomysły „mateczki" naszych marjawitów socjalistycznych.

Angielski marksista Hyndmann ma, w sprawach kolonjalnych i militarnych, poglądy odbiegające znacznie od poglądów innych uczniów autora „Kapitału".

Mógł bym przytoczyć dziesiątki innych takich przykładów. Oczywiście dla ludzi inteligentnych nie są one nowością, ale taki socjologiczny i polityczny analfabeta jak p. Rawski — nigdy o tych rzeczach nie słyszał.

Skoro więc wyznawcy jakiejś doktryny w stosowaniu jej w teorji i praktyce dochodzą, bardzo często, choć nie zawsze, oczywiście, do wyników sprzecznych, to należy przypuścić jedno z dwojga: 1) albo sama doktryna została niezbyt ściśle sformowana, 2) albo zwolennicy jej mylnie ją interpretują.

Dla naiwnych w rodzaju p. Rawskiego wszystko zostało już wyjaśnione przez Marksa. Dla ludzi znających przedmiot jasnym jest, że bardzo wiele rzeczy przez Marksa, w jego własnej teorji, wyjaśnionych nie zostało. Nie będę tu wykładał p. Rawskiemu, jak, zdaniem moim należy pojmować materjalizm socjologiczny, gdyż zrobiłem to w innych pracach.

Słabą stroną naszych pachciarzy marksizmu była zawsze niemożność zdawania sobie sprawy ze stosunku dążeń celowo — świadomych, do procesów żywiołowych.

Analfabeta z *Naszej Sprawy* także jest zdziwiony, że rewolucjoniści wywołują ruch, nie rozumiejąc tu tego, że zarówno stosunki ekonomiczne, jak akcja planowa działaczy społecznych—są to niezbędne ogniwa w łańcuchu przyczynowym.

Warunki ogólne wytwarzają niezadowolenie, z którego rodzą się rewolucjoniści. Wyłoniwszy się jednak na tle określonych stosunków społecznych, innymi słowy będąc sami skutkiem pewnych przyczyn, są oni z drugiej znowu strony przyczyną szeregu innych zjawisk.

Niezawodnie, że ignorancja, blaga i demagogja naszych pachciarzy marksizmu są wynikiem różnych przyczyn ogólnych i szczególnych: warunków społeczno-politycznych, kulturalnego zacofania i wynikającego z niego dogmatyzmu, charakteru doktryny, którą objąć należycie mogą tylko umysły silne i wykształcone; wreszcie warunków szczególnych, jak wrodzonej głupkowatości wielu z nich, degeneracji i t. p.

Będąc jednak wytworem warunków, nasi pachciarze marksizmu są zarazem przyczyną wielu czynów szkodliwych. Demagogja ich demoralizuje i ogłupia masy: obok kilku ogólnikowo sformułowanych prawd, szerzą oni mnóstwo kłamstw, urabiając umysły w kierunku dogmatycznym. Są to szkodnicy, przed którymi społeczeństwo wogóle, a socjaliści w szczególności bronić się powinni energicznie.

Nasi esdecy długi czas broili bezkarnie, korzystając z tego, że „jawnie" nie trzeba się było usprawiedliwiać; dziś przywilej ten ich upada.

Jeżeli rząd zamyka im nieraz pisma i stowarzyszenia, to jest to wielkie nieporozumienie. Tacy socjaliści, jak nasi esdecy, przynoszą szkodę przedewszystkim klasie robotniczej i socjalizmowi, robiąc z niego sektę demagogów, wrogich społeczeństwu.

Klasa robotnicza u nas wiele swoich klęsk zawdzięcza tym panom; dziś wprawdzie wpływ ich jest minimalny, gdyż robotnik nasz, w znacznym stopniu poznał tych swoich dziwnych przyjaciół, był jednak czas, kiedy znaczenie ich było dość duże.

Nie idę tak daleko, aby przypisywać naszym, błędnym duchem, pachciarzom marksizmu świadomie złych zamiarów. Ale dobrze mówi znane przysłowie rosyjskie: „uczynny dureń szkodliwszy jest od wroga".

Nasi materjaliści socjologiczni w praktyce są utopistami; nie licząc się z rzeczywistością, szafowali nieoględnie krwią i bytem robotników dla celów dziś nieziszczalnych.

Mógłbym z cytatami w ręku wykazać, że z pośród socjalistów polskich, najlepiej przewidziałem wypadki, że więc moja niby nienaukowa metoda myślenia politycznego jest stokroć lepsza od niby naukowej naszych pachciarzy marksizmu.

Cytat tych robić nie będę, gdyż i bez nich ci, co uważnie śledzą bieg wypadków u nas, wiedzą o tym dobrze.

P. Rawskiego ciągle zajmuje sprawa mojego stosunku do socjalizmu. Otóż dawno już napisałem, że z takim demagogiczno-błazeńskim socjalizmem, jaki reprezentują nasi „prawdziwi" esdecy, nigdy nie miałem nic wspólnego i nie mam.

Ludwik Kulczycki.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Zgodnie z uchwałą, powziętą na ostatnim wiecu w sprawie zaburzeń krakowskich, młodzież postępowa podjęła kroki pojednawcze względem senatu, nie chcąc dawać powodu władzom centralnym do zarządzeń, które by mogły wyjść na niekorzyść Wszechnicy Jagiellońskiej. W tym celu wszyscy skazani studenci cofnęli rekurs, wniesiony do Wiednia przeciwko wyrokom senatu, ze swej zaś strony rektor Witkowski przestał ujawniać nieprzejednanie bojowe, oceniwszy nastrój młodzieży w sposób właściwy. Natomiast minister hr. Stürghk, obdarzony bezgranicznym zaufaniem Koła Polskiego i pocichu judzony przez koterje klerykalne, w dalszym ciągu sroży się i wydaje drakońskie rozkazy, wymierzone głównie przeciw słuchaczom z Królestwa.

Mimo, że władze centralne tak jawnie i bezwzględnie reprymują ruch wolnomyślny wśród młodzieży, zgodnie zresztą z pobożnym życzeniem galicyjskich kół zachowawczych tudzież *Kurjera Warszawskiego* — pomienione koła i organy prasy nie przestają szerzyć insynuacji, jakoby właśnie młodzież postępowa główne i wyłączne czyniła we Wiedniu zabiegi.

Klerykaliści i „narodowcy", idąc w zawody z ministrem Stürghk'em pod względem gorliwości inkwizycyjnej, czynią w dalszym ciągu jątrzące i zjadliwe wycieczki przeciw postępowej części młodzieży; ostatnio wydali oni „list otwarty" mający wszelkie cechy księżego dyktanda, list pełen zjadliwych fałszów i złej woli, gdzie między innymi takie znajdujemy zdanie:

> I cobyście powiedzieli, gdybyśmy mieli polski uniwersytet w Warszawie, gdyby w nim przyszło do zatargu między senatem a młodzieżą, i którakolwiek grupa młodzieży udała się o pomoc w walce z senatem do klubu nacjonalistów rosyjskich w Dumie, którego jednym z przywódców jest Puriszkiewicz, podobnie jak Wolf w klubie narodowo-niemieckim?"

Nie wiemy, jak zareaguje młodzież postępowa na ten wysoce niekoleżeński wybryk; ze swej strony stosując się, acz z niesmakiem, do metod jezuickich, możemy z kolei zagadnąć wykonawców księżego dyktanda:

— „A co byście wy powiedzieli, gdybyśmy mieli polski uniwersytet w Warszawie, gdyby w nim przyszło do zatargu między senatem a młodzieżą, i którakolwiek grupa profesorów udała się o pomoc do ministra Szwarca, wnosząc nadto zażalenie na policję państwową, że nazbyt łagodnie sobie poczynała ze zbuntowaną młodzieżą; gdyby nadto pewne koła zachowawcze zgłosiły *à priori* votum zaufania dla zarządzeń wspomnianego ministra, a inne wszelkich dołożyły starań, by część młodzieży relegować? Co wy byście na to powiedzieli? A przecież nie inaczej postępowali ci, co włożyli wam pióro do ręki i podyktowali ów krzywdzący i niekoleżeński list.

* Obecny stan rzeczy na Wszechnicy Krakowskiej tak się przedstawia według *Nowej Reformy*:

> Jak wiadomo, relegacje dwóch akademików zmieniono na nagany. Obiegają pogłoski, że pieniężne skutki nagan nie będą stosowane. Odbywające się w uniwersytecie przesłuchiwanie 25 akademików jest jedynie następstwem pociągnięcia ich do odpowiedzialności przez władze sądowe. O stosowaniu jakichkolwiek środków represyjnych ze strony senatu nic nie słychać. Wyrozumiałość senatu, wraz z wyraźną tendencją wśród młodzieży, dążącą do unikania drażniących wystąpień, daje rękojmię przywrócenia rychło normalnego trybu życia w uniwersytecie.
>
> W takiej chwili nadchodzą rozporządzenia ministerjum oświaty, będące w sprzeczności z usposobieniem senatu i postępowej młodzieży.
>
> Wskutek zarządzenia ministerjum, prokuratorja państwa ujęła w swe ręce sprawę zajść z d. 30-go stycznia. Wreszcie specjalnie, nieprzychylnie usposobione jest ministerjum wobec królewiaków, czego objawem jest odrzucenie 63 podań hospitantek, pochodzących z Królestwa Polskiego. Semestr zimowy może być dla nich stracony, a skutek powtórnych podań o przyjęcie ich w poczet słuchaczek zwyczajnych, względnie nadzwyczajnych, przedstawia się problematycznie. Młodzież obawia się, że nastąpią dalsze represje względem królewiaków. Pomyślne załatwienie tych spraw zależy od dalszego stanowiska senatu i w znacznym stopniu od interwencji posłów polskich, których młodzież zawiadomiła o stanie rzeczy.
>
> Zamieszczając powyższe informacje, wyrażamy zadowolenie, że senat akademicki zajmuje wobec uczniów, dotkniętych karami, życzliwe stanowisko. Mamy także nadzieję, że senat, uwzględniając uchwały krakowskiej rady miejskiej, dołoży starań, w których poprze go Koło polskie, aby uczniom z Królestwa Polskiego nie stawiano trudności w zapisywaniu się na uniwersytet".

Raz jeszcze stwierdzić należy, jak dalece były niesłuszne i krzywdzące obelgi, miotane na młodzież postępową za to, że starała się we Wiedniu o złagodzenie spadłych na nią represji. Obecnie senat starać się musi o to samo, tylko że hr. Sturghk, wprawiony w rozpęd zaufaniem Koła i kampanią prasy wstecznej, nie da się tak łatwo powściągnąć. Na tym tle epilog całej sprawy rysuje się równie dla naszej prawicy niechlubnie, jak i jej prolog.

* *Nowa Gazeta* wraca ponownie do dyskusji w P. Z. P. na temat „czy i dlaczego postęp w społeczeństwie polskim nie jest popularny?" kładąc wyłączny nacisk na „zainteresowanie, jakie budzi kwestja stosunku stronnictwa do t. zw. antysemityzmu postępowego". Przytoczywszy przemówienie p. Wasercuga *in extenso*, organ p. Kempnera stwierdza raz jeszcze, że „w sprawie antysemityzmu postępowego wypowiedziały się już stanowczo wszystkie grupy postępowe... wszystkie organy postępowe potępiły go bezwzględnie, tylko *Prawda* zachowywała osobliwą rezerwę, kierując się widocznie jakimś oportunistycznymi względami taktycznymi, co przyczynić się musiało do dezorjentacji opinji w poglądach na stronnictwo".

Oto nasza, w krótkich słowach, odpowiedź. Kwestji żydowskiej i sprawom, z nią związanym, udzielaliśmy w ostatnich czasach dość miejsca i uwagi, w myśl zawsze zasad polskiej idei demokratycznej, której wyrazem jest nasz program. Walka z „antysemityzmem postępowym" wypełnia wszystkie szpalty *Nowej Gazety*, co jest zupełnie zrozumiałe, nas jednak nie może absorbować w równym stopniu, ze względu choćby na cały szereg innych spraw palących i ważnych, bezpośrednio z naszym bytem związanych.

„Względy oportunistyczne" o które nas *Nowa Gazeta* pomawia, znajdują zato wyraz dobitny w systemie rozległych acz jednostronnych kompromisów w przemilczaniu i obchodzeniu pewnych szkodliwych i wstecznych form życia żydowskiego, względem którego zdobywa się *Nowa Gazeta* na niebywałą, iście jedwabistą miękkość dotyku i „rezerwę" więcej niż „osobliwą".

* Jeśli sprawa ślubów cywilnych, istniejących w Królestwie przed 1831-ym rokiem, znajduje się dotąd w zupełnym zaniedbaniu, to pogrzeby świeckie nie są u nas bynajmniej rzadkością; dzieje się to za sprawą samego kleru, który, uchylając się od pełnienia posług du-

chownych, bądź tytułem szykany, bądź też z powodu niedostatecznych napiwków, stwarza bardzo pożądany precedens; oto co w tej materji pisze *Myśl Niepodległa*:

Nam się zdaje, że wobec tego, co się u nas dzieje, każdy wolny myśliciel Królestwa Polskiego powinien zapoznać się dokładnie z treścią paragrafów naszej ustawy karnej z 22 marca 1993 roku, poczynając od § 73 aż do § 98 (wedle prawa z 14 marca 1906 r.) w wydaniu senatora Tagancewa, ze wszystkimi orzeczeniami senatu i wyjaśnieniami wydawcy. Dowiedzieliby się wtedy, że wedle § 78 istnieje kara do trzech miesięcy aresztu za pochowanie chrześcijanina bez spełnienia rytuału. Zagadnienie jest z tego powodu jeszcze ciekawsze że gdy mamy do czynienia z bogatymi nieboszczykami, księża gwałtownie domagają się pogrzebu kościelnego, ale gdy nieboszczyk umiera w ubóstwie, mimo próśb, nie raczą dokonywać obrzędu, i oto widujemy na ulicach Warszawy wciąż ś w i e c k i e p o g r z e b y, b e z u d z i a ł u d u c h o w i e ń s t w a. Gdy ktoś jest za ubogi, by opłacić w sądzie obrońcę, sądy wyznaczają mu adwokatów z urzędu, ale gdy ktoś jest za ubogi, by opłacić księdza na pogrzebie, kościół nie wyznacza.. księży z urzędu.

KRONIKA.

EMILJAN KONOPCZYŃSKI. Niezwykłej miary pedagog ukończył przedwcześnie dla społeczeństwa życie pracowite i pełne zasług.

Konopczyński, urodzony w r. 1839, początkowo chciał się poświęcić zawodowi lekarskiemu i studjował medycynę w Moskwie, lecz ulegając namowie prof. Piechowskiego przeszedł na wydział historyczno-filologiczny i ukończył go w r. 1861. Po powrocie do kraju w r. 1862 został nauczycielem języków starożytnych w gimnazjum III (później IV) w Warszawie i na tym stanowisku pozostawał do r. 1896, w którym założył swą własną szkołę. Jak nią kierował, świadczy najlepiej zamierzenie grupy jego dawnych uczniów, którzy z powodu przypadającego niebawem półwiecza jego pracy, pragnęli zapewnić tej szkole gmach własny i ofiarować go ukochanemu nauczycielowi w jubileuszowym darze. Zmarły, uprawiał pedagogikę nietylko czynem; poświęcił jej też pióro. Zostawia szereg prac, drukowanych w *Przeglądzie pedagogicznym*, *Encyklopedji wychowawczej w Gazecie Polskiej w Bluszczu* i in. Roztrząsał w nich zasady kształcenia i wychowania młodzieży, między innymi wyłuszczał: „Jedna z tajemnic powodzenia uczących". Tę tajemnicę sam posiadł, równie jak donioślejszą jeszcze: trafienia nie tylko do umysłów, lecz do serc młodzieży.

SPRAWA D-RA MIKLASZEWSKIEGO. III departament karny izby sądowej rozpoznał d. 13 b. m. sprawę d-ra Walentego Miklaszewskiego oskarżonego o bluźnierstwo, którego dopatrzono się w wydanej przez d-ra M. książce p. t. „Dla kultury przyszłości".

Wyrokiem VI wydziału karnego warszawskiego sądu okręgowego d-r M. został uniewinniony, lecz na wyrok ten prokurator podał protest.

Izba sądowa po trzygodzinnych rozprawach protest prokuratora odrzuciła.

POLSKIE TOWARZYSTWO KRAJOZNAWCZE (Warszawa, Aleje Jerozolimskie 29, tel. 42-50) nadsyła nam z prośbą o zamieszczenie, odezwę następującą:

„W dniu 29 Stycznia r. 1911 zmarł w Warszawie znakomity gieograf polski, uczony europejskiej miary, Wacław Nałkowski. Już za czasów studenckich w r. 1876 Nałkowski powziął myśl wprowadzeniu radykalnej zmiany w nauczaniu gieografji. Reformatorskie pomysły jego, wyprzedzające nietylko ówczesne dzieła polskie, lecz i zachodnioeuropejskie, znalazły urzeczywistnienie w szeregu jego prac, jak „Gieografia powszechna rozmowa", „Gieografia poglądowa" i inne, tworząc epokę w dziejach gieografji polskiej i wynosząc ją na poziom nauki współczesnej.

Zerwawszy z rutyną dotychczasową, Nałkowski oparł swój wykład na podstawie ściśle przyrodniczej, wysnuł całą naukę o ziemi z pojęcia związku przyczynowego między światem zjawisk przyrody z jednej strony, a rozwojem zbiorowego życia człowieka z drugiej, budując w ten sposób jakby organizmy gieograficzne, w których przyroda martwa zlewa się w jedno ze światem istot żywych.

Wymienione cechy orginalności dzieł Nałkowskiego znamionują także i pozostałą w rękopisie pracę p. t. „Gieografja ziem dawnej Polski", owoc wieloletnich studjów zmarłego, w której zobrazował ziemie polskie, jako pewną całość gieograficzną, rozwiązując jednocześnie szereg zagadnień doniosłego znaczenia teoretycznego.

Komitet przy Pol. Tow. Krajoznawczym, złożony z osób podpisanych pod niniejszą odezwą, chcą uczcić zmarłego, powziął myśl wydania w Warszawie jego dzieł gieograficznych, a przedewszystkiem ogłoszenia drukiem rękopisu p. t. „Gieografja ziemi dawnej Polski". Wykonanie przedsięwzięcia tego wymaga znacznych kosztów, aby wydawnictwo, bogato ilustrowane, zaopatrzone w liczne mapy, stanęło tak wysoko pod względem drukarskim, jak stoi treść jego pod względem naukowym. Koszty muszą być znaczne i z tego jeszcze względu, że pragniemy dzieło uczynić tanim, aby jaknajszersze koła mogły zeń korzystać.

Wzywając ogół społeczeństwa do współdziałania z nami, wyrażamy głęboką wiarę, że nas stać na to, abyśmy wzbogacili literaturę polską dziełem pomnikowym i tym uczcili pamięć bojownika, który po ciernistej drodze polskiej nauki zdążał ku jej szczytom." Następują podpisy: *Aleksander Janowski, Wacław Jezierski, Stanisław Karczewski, Kazimierz Kulwiec, Stanisław Michalski, Zdzisław Rudzki, Paweł Sosnowski, Antoni Sujkowski, Andrzej Świętochowski.*

OFIARY.

Na wpisy dla uczni szkół prywatnych polskich: A. Zalewska z Zytomierza rb. 50.

Na szkołę w Sokołówku: p. W. M. U. rb. 100, M. Dębski rb. 25, A. Domański rb. 10, N. Kowalska rb. 1 kop. 15. Razem rb. 136 kop. 15.

Książki nadesłane do Redakcji:

Gustaw Daniłowski: „W miłości i boju". Kraków 1910. Spółka nakładowa „Książka", str. 196.

Jan Lorentowicz: „Nowa Francja literacka". Portrety i wrażenia. Warszawa, 1911. Wydawnictwo Wł. Okręta. Str. 560.

Edward Słoński: „Partja", romans rewolucyjny. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp. 1911, 8-ka, str. 316. Cena rb. 1,50.

Archibald Geikie, profesor mineralogji i geologji w uniw. edynburskim. „Geologia", tłómaczył z angielskiego prof. Karol Jurkiewicz, wydanie czwarte, przejrzane i uzupełnione przez Z. Weyberga, z 41 rysunkami w tekście, Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i S-ka, 1911, 8-ka. str. X + 172. Cena kop. 50.

Marja Szpyrkówna: „Zwrotki Jesienne". Poezje, str. 146. Kraków, 1911. Cena rb. 1 kop. 25.

Cezary Jallenta: „Druid Juljusz Słowacki". Brody – Lwów. Nakładem księgarni Feliksa Westa. Str. 224. Rok 1911.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TRESC:

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.